Nr. 24. Lwów — Czwartek dnia 30 Stycznia. Rok 1896.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zareczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Martyny — Aftanazya | Jutro: św. Piotra Nol. — Makar. Prep. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca g. 7 m. 40, Zachód „ „ 4 „ 49 | Długość dnia g. 9 m. 9, Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 29 stycznia.

„Aktor i polityk tem się tylko różnią w osobistych środkach działania, że pierwszy gra nerwami, a drugi na nerwach.“ Taki frazes napisał przed laty na balu, w karneciku aktorki, znany powieściopisarz i dyplomata angielski lord Bulwer — i zapewne wtedy na myśl mu nie przyszło, że to zdanie, nie mające pretensyi do wielkiej głębokości, będzie w wiele lat później użyte przez londyński tygodnik *Economist* za motto artykułu o ostatniej partyi politycznej, granej przez Anglię z Niemcami. Autor tej rozprawki dowodzi, że dyplomacya berlińska grała nerwami, londyńska zaś na nerwach, naturalnie nieswoich, — i pierwsza przegrała z kretesem. Zdaje się, że to jest prawda. Anglia nie nadymała się i nie miotała, lecz cicho, bez hałasu, a statecznie przeprowadzała swoje, podczas gdy rząd waszyngtoński atakował ją obcesowo w sprawie wenecuelskiej, berliński starał się nogę podstawić w transwaalskiej, a opinia publiczna w Rosyi i Francyi dawała tym rządom burzliwe oklaski. Na brutalną zaczepkę Clevelanda nie rząd brytański odpowiedział, lecz londyńska giełda — i to wystarczyło. Po nowo-yorskim krachu już Stany Zjednoczone przestały myśleć o wojnie, bo muszą dobrze się zastanowić nad swem położeniem finansowem, aby z niego nie wyrodziła się klęska ekonomiczna. Wedle ostatnich depesz z Waszyngtonu, rząd tamtejszy poradził wenecuelskiemu, aby się postarał o zgodę z Anglią, a jeśli woli zatarg, to niech poszuka sobie innych pleców, bo Stany nie wmięszają się do tej sprawy. Ta wskazówka będzie zapewne przyjęta, bo już donoszą o rokowaniach rozpoczętych przez Salisbury'ego z rządem karakaskim na podstawie angielskiego wniosku, aby mięszana komisya, złożona z delegatów Brytanii i Wenecueli, wytknęła jeszcze raz i już na zawsze linię graniczną. Tak samo pomyślnie skończyła się awantura transwaalska, pogodzeniem się republiki Boerów z Anglią, przyczem ta pierwsza wyrzekła się skwapliwie hałaśliwej życzliwości niemieckiej. Coś jednak pozostało z tych spraw na europejskim gruncie: cesarz Wilhelm stał się w Anglii osobistością nadzwyczaj niepopularną; z kochanego i ugaszczanego wnuka królowej, z admirała floty brytańskiej zmienił się w oczach angielskich we wroga. Kiedy teraz, jak co roku, zamierzyło prezydyum jednego z najstarszych i najbardziej wykwintnych klubów, — klubu „Athenäum“ urządzić bankiet w dzień urodzin cesarza Wilhelma, to kilkudziesięciu członków tego klubu oświadczyło, że wystąpi z niego, jeśli bankiet się odbędzie i w skutek tego zaniechano tej dorocznej uroczystości. Drugi podobny wypadek zdarzył się w kole oficerów marynarki, którzy podnieśli kwestyę, że lepiej w tym roku nie urządzać regat czyli wyścigów na czółnach i yachtach w Cowes, aby uniknąć obecności cesarza Wilhelma, o czem on się dowiedział i polecił zawiadomić dyrekcyą wyścigów, że na nie nie przybędzie. Z tych dwóch wypadków sądzić można, że nietylko pospólstwo angielskie, które burzliwie występowało przeciwko Niemcom, ale także sfery wykwintne i wojskowe są głęboko i trwale urażone na cesarza Wilhelma. W państwie, gdzie ogół narodu tak silnie wpływa na ruchy rządowe, będzie to miało wpływ na politykę, a wiedzą to i w Niemczech i we Francyi. W Berlinie tak wielką wagę kładą na powiększenie floty zgodnie z wnioskiem rządowym, że ministeryum usilnie pracuje nad wskrzeszeniem dawnego sojuszu stronnictw, dawnego kartelu, lubo dotąd na braku takiego kartelu, na rozluźnieniu stronnictw parlamentarnych opierała się polityka gabinetowa. Rząd zatem woli mieć do czynienia z większością i jej w niejednem ustępować, coś czynić dla niej, byle mógł w zamian otrzymać cały, a nie — jak zwykle — okrojony budżet marynarki. Jest to widocznie podyktowane jakiemiś obawami, a ślady tego uczucia znajdujemy także we Francyi. Radykalny dziennik *La Petite République*, uchodzący za organ radykalnego gabinetu Bourgeois'a i rzeczywiście przynoszący wiadomości rządowe, które zawsze się sprawdzają, doniósł właśnie, że rada gabinetowa upoważniła ministra marynarki p. Lockroy, aby w obec angielskich zarządzeń marynarskich przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Minister wydał tedy polecenie prefektowi morskiemu kanału La Manche, aby po cichu zmobilizował rezerwowe okręty i uzupełnił wszystkie magazyny w nadbrzeżnych fortyfikacyach, a nadto przygotował torpedy, aby w każdej chwili można było otoczyć niemi wszystkie porty i dostępne wybrzeża.

Więc przygotowania angielskie zaraz wywołały odpowiednią czynność we Francyi i Niemczech. Fakta, silniejsze od ludzkich uczuć, zbliżają do siebie te dwa dziedziczne wrogie państwa. Militarne ich pogotowie jest prawie zupełne, lecz jest inne pogotowie, w którem one zapewne nie dorównają Anglii. Wspomniał o niem Balfour w swej pamiętnej manchesterskiej mowie, gdy rzekł, że skarb posiada takie zasoby, iż wszystkim wydatkom może podołać. Przypomina się tu stare określenie warunków, od których zależy pomyślne prowadzenie wojny: potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Otóż nikt ich tyle nie posiada, co Anglia. Ona je lubi i skrzętnie gromadzi, bo dostatek pieniężny jest wielką siłą polityczną, jest głównym warunkiem prawdziwego pogotowia militarnego. Rozumiał to Bismark i dlatego po 1870 roku usiłował zrobić Berlin głównym rynkiem pieniężnym w Europie. Pięć miliardów kontrybucyi i zamierzone zrujnowanie Francyi miały stanowić podwaliny tego gmachu powszechnej hegemonii Niemiec. Były to jednak próżne wysiłki i błędne wyrachowania. Miliardy, zabrane Francyi, powoli się rozlazły, nędza rolników nadżarła dobrobyt niemiecki. Francya wprawdzie zwycięsko wyszła ze strasznej finansowej i ekonomicznej ruiny zaraz po wojnie, lecz nieopatrzne rządy republikańskie, różne panamy i kosztowne ekspedycye tak nadszczerbiły zasobność francuską, że niedawno musiano małym urzędnikom uszczuplić pauszalia i pensye, aby utrzymać budżet w równowadze, a kiedy teraz wypadło w parlamencie uchwalić dla kolonii tonkińskiej tylko 70 milionów pożyczki, to rząd kilka dni zwalczał niechęć deputowanych. Do braku gotówki przyczyniły się także liczne a ogromne pożyczki, świadczone Rosyi. Dają one wprawdzie niezły procent i są pewne, ale bardzo uszczupliły zasoby płynnej gotówki. Francya zawsze jest jeszcze najbogatszem po Anglii państwem w Europie i dlatego sprzymierzeńcem cennym, ale nie może w każdej chwili zgromadzić tyle złota, aby niem wygrywać finansowe bitwy. Potrafi to jeden tylko Londyn, będący głównem centrum światowego ruchu pieniężnego. Do niego, jak rzeki do morza, spływa złoto z Kalifornii, Meksyku, Afryki, Australii, — zgoła zewsząd. On reguluje jego obieg, jedne szluzy dla niego otwiera, inne podług upodobania zamyka, daje, albo odbiera kredyt, jest więc głównym szafarzem tego środka, bez którego nie można prowadzić wojny zwyczajnej, ani wojny finansowej. Jak lat temu pięćdziesiąt rzekł podobno Rotszyld, że wojny nie będzie, bo on nie da pieniędzy, tak dziś mógłby to powiedzieć tylko cały Londyn — i dał on to poczuć Stanom Zjednoczonym, a nauka w las nie poszła. Uznaje tę magnacką potęgę Londynu cały świat finansowy, — kornie schyla przed nią głowę i oto właśnie teraz konsole tej osamotnionej i pełnej kłopotów Anglii podniosły się niebywale, bo o 5 procent, jakby dla szykany ze wszystkich na świecie pogróżek, z niemieckich starań o dużą flotę, z francuskich rozkazów, wydanych morskiemu prefektowi kanału La-Manche, z rosyjskich okrzyków: „Azya dla państw azyatyckich!“. Więc słusznie londyński tygodnik *Economist*, krytykując politykę niemiecką ze stanowiska finansowego, przytacza słowa lorda Bulwera, napisane w karneciku aktorki: Londyn gra na światowym nerwie, jakim jest złoto, a Berlin butnie, hałaśliwie, szowinistycznie grał własnemi nerwami, a że on nie jest aktorem, więc źle grał.

Przed paru dniami telegram z Bukaresztu doniósł o wypadku bardzo rzadkim w życiu parlamentarnem: prezydent liberalnego gabinetu, urzędującego dopiero od kilku miesięcy, oznajmił w izbie deputowanych, iż prawdziwe są pogłoski o niezgodzie między nim a ministrem spraw wewnętrznych p. Flevą i że on prosi izbę o wotum zaufania. Znaczyło to, że izba powinna dać do zrozumienia p. Flevie, iż musi podać się do dymisyi. Izba to uczyniła, a minister zaraz złożył tekę. Lecz właśnie teraz nadchodzą wiadomości, z których można sądzić, że było to Pyrrhusowe zwycięstwo prezesa gabinetu p. Stourdzy. Okazało się, że Flevie czyniono niesłuszne zarzuty. Przed objęciem teki był on adwokatem bogatego gorzelnika Popovici'ego, którego teraz zaskarżyła straż skarbowa o nadużycia podatkowe. W ten proces wmięszano oczywiście p. Flevę, jako adwokata, lecz sąd we wszystkich instancyach uznał jego niewinność. Oprócz tego dziennik *Vointa Nationala* ustawicznie a brutalnie napadał na p. Flevę i okazało się, że temi napaściami kierował inny minister p. Cantacuzena. W skutek tego opinia przechyliła się na stronę pokrzywdzonego p. Flevę, a że jest on w ogóle człowiekiem wpływowym i zręcznym, przeto zapowiadają w Bukareszcie upadek całego gabinetu.

Korespondencye.

Wiedeń 26 stycznia.

Bal tegoroczny miasta Wiednia, który odbył się wczoraj, na większą niż zwykle zasługuje uwagę. Chodziło tym razem nietylko o zebranie wielkiego dochodu dla ubogich i nietylko o pokazanie świetnych toalet i klejnotów, ale o polityczną manifestacyę. Mówiono, że bal się nie uda, że stolica wskutek rozwiązania rady gminnej nie zdobędzie się na podobny festyn jak w latach poprzednich, że od balu stronić będą wszyscy zwolennicy Luegera itd. Otóż pokazało się, że wcale a wcale te wróżby nie sprawdziły się

Tak świetnego balu miejskiego Wiedeń jeszcze nie miał. Nie przygotowywała go rada gminna — urządzeniem zajęli się trzej członkowie izby panów i obywatele honorowi miasta Wiednia (hrabia Wilczek, Mikołaj Dumba i Ludwik Lobmeyer) i komisarz rządowy dr. Friebeis, zarządzający tak wzorowo dotychczas sprawami gminnemi. Sześćdziesiąt i kilka pań z arystokracyi, z najwyższych kół urzędniczych, z kupiectwa i sfer artystycznych przyjęło obowiązki patrones, pani Badeniowa i pani Bilińska, pani hr. Gleispach i p. hr. Dubsky-Palffy, pani Kielmanseggowa i p. hr. Pinińska z Drohojewskich, dalej panie Karolina i Matylda Cziżek, Klarysa i Matylda Lindheim, panie Matscheko, Mauthner, Nechańska, wreszcie panie Lewińska, Oser, Kaposi, Wisinger-Florian — aby tylko kilkanaście wybitnych przytoczyć nazwisk, dobrze znanych w Wiedniu, w arystokracyi, kupiectwie i kołach artystycznych — wzięły udział w komitecie.

O pół do dziesiątej zjawił się Cesarz na balu i rozmawiał z przedstawicielami świata artystycznego i kupieckiego, przemysłowego i rękodzielniczego; z jednym mówił o produkcyi papieru, z innym o skórach, z innym znów o wypadkach ostatnich na giełdzie; p. Daumowi, członkowi rady przybocznej p. Friebeisa, powiedział, iż jest zadowolniony z tego, że „rada wiele robi i szybko postępuje ze swemi pracami“, a do byłego radnego Prokscha zauważył: „Byłeś pan długo w radzie gminnej. Spodziewać się należy, że niebawem znowu mieć będziemy radę gminną, ale radę, która coś zrobi.“ Z dużego dochodu jaki ten bal przyniósł, okazał Monarcha radość, a do marszałka krajowego Dolnej Austryi, który w dniach ostatnich tyle ucierpiał od posłów antysemickich, rzekł: „Ma pan niemało teraz kłopotu, żeby coś w sejmie przeprowadzić.“

Toalety pań stanowiły przedmiot zachwytu znawców. Obok toalet jedwabnych w barwach lśniących, przetykanych srebrem i złotem, spiętych brylantami i uwydatniających całą piękność form kobiecych, widać było i stylowe suknie z czasów cesarstwa.

Na ogół bal i pod względem liczby uczestników i pod względem dochodu, który wynosi podobno 20.000 złr. i pod względem wreszcie bogactwa i przepychu toalet, przedstawiał się świetnie.

Sprawa dyrekcyi w Rajmundteatrze dotychczas jeszcze nie jest załatwiona. Choć najwybitniejsi członkowie spółki akcyjnej biorą stronę dyrektora Müller-Guttenbrunna, choć namiestnik otwarcie się za nim oświadczył, lubo klub publicystów i literatów „Concordia“, stowarzyszenie imienia Grillparzera i towarzystwo Rajmunda wyznaczające nagrody za najlepsze sztuki ludowe, wyraziły dyrektorowi swoje sympatye dla niego, mimo to wszystko intrygi nie ustają. Więc n. p. przedwczoraj udała się deputacya aktorów do prezesa komitetu akcyonaryuszy, aby w imieniu wszystkich artystów — z wyjątkiem pięciu — zaprotestować przeciw dalszej, możliwej gospodarce samowolnej dyrektora i prosić o utworzenie jakiejś władzy ograniczającej jego działalność na wypadek, gdyby on wrócił na swą posadę. Nazajutrz 21 artystów zaprotestowało przeciw deputacyi pismem do gazet, twierdząc, że ich nawet nie pytano o to, czy coś mają do zarzucenia dyrektorowi. Jeśli były jakieś zarzuty przeciw dyrekcyi, to taki sposób walczenia z nią do reszty zniszczyć musi zaufanie do tych kół akcyonaryuszy, którym „dywidendy z gospodarki Müllera były za małe!“

Tymczasem plany nowych teatrów w Wiedniu wciąż się rodzą. Do roku 1897 stanąć ma teatr nowy w Währing. Jeszcze kłócą się o niego dwie gminy: Währing i Hernals (IX i XIX dzielnica). Teatr służyć miałby obu dzielnicom, a Währing jest bliższy śródmieścia i przez zamożniejszą zamieszkały ludność, więc podnosi pretensyę, aby na jego terytoryum gmach stanął. A jak zawsze, trudność sprawia także wybór i zakupno gruntu. Gmina wiedeńska nie chce po cenie jej ofiarowanej przez towarzystwo prywatne (42 zł. za metr kwadratowy) sprzedawać swego gruntu. Wydział gminny w Währingu robi jednak starania, aby te trudności usunąć i zapewnia, że z końcem roku następnego będziemy mieli nowy teatr, nowych akcyonaryuszy, czekających na dywidendy i kłótnie dyrekcyi z „gwiazdami“.

Po ewakuacyi Makali.

△ Na pierwszy rzut oka zapał, jaki we Włoszech wywołało ocalenie batalionu podpułkownika Galliano, może się wydać dziwacznym. Zachodzi przecież różnica pomiędzy zdobyciem a ewakuacyą warowni. W normalnych warunkach tylko pierwsze można uważać i wystawiać jako zwycięstwo. Szczególne okoliczności tłumaczą jednak, a nawet usprawiedliwiają zadowolnienie wywołane we Włoszech ewakuacyą Makali. Trzeba zważyć, że Galliano powstrzymał tam i unieruchomił przez sześć tygodni (od 7 grudnia do 23 stycznia) całą armię cesarza cesarzy Menelika; że załoga Makali składała się tylko z tysiąca żołnierzy, pomiędzy którymi tylko 150 Włochów, gdy wojsko abisyńskie liczy co najmniej 50.000 żołnierzy, według przesadnych wieści dzienników francuskich nawet przeszło 100.000; że Makala nie jest silną warownią „na skale 2500 metrów wysokiej“ — jak twierdzi *Fremdenblatt* — lecz zaimprowizowanym dopiero w październiku r. z. obwarowanym obozem na pagórku kilkanaście metrów wysokim, który się wznosi z kotliny Enderly, wywyższonej (jak inne kotliny abisyńskie) 2500 m. nad powierzchnię morza; że tak zwany mur, którym w październiku r. z. major Toselli otoczył ów pagórek zwany Enda Jesus, jest właściwie kupą kamieni rzuconych jeden na drugi, w których kilka odpowiednich wystrzałów armatnich zrobiłoby natychmiast wyłom, wystarczający do szturmu; że podpułkownik Galliano ostatecznie widział się zmuszonym opuścić tę warownię... nie z braku męstwa, lecz z braku wody; że ją opuścił dopiero wtedy, gdy koncentracya głównego wojska włoskiego pod Adigratem była uskuteczniona.

Zważywszy to wszystko, możemy przyznać, że z czysto ludzkiego stanowiska ustąpienie Galliana z Makali zasługuje na wszelkie zadowolnienie. Specyalna logika wojskowa jednak tak w wycięciu oddziału majora Tosellego pod Amba-Aladżi, chociaż to stało się po bohaterskiej walce, jako też w ewakuacyi Makali, choć całkiem uzasadnionej i nie utrudniającej dalszych operacyi wojskowych, dopatruje się niezawodnie porażki. Ztąd wynika, że jen. Baratieri, który dziś rozporządza 30000 wojskiem i 50 armatami — od czasu wojen francuskich w Algieryi, Afryka nie widziała tak potężnej armii europejskiej! — będzie zmuszony powetować owe porażki albo świetnem zwycięztwem, albo też bardzo korzystnemi dla Włoch warunkami pokoju. Że mianowicie Włosi obstawać będą przy całej Tigrze, którą opanowali w październiku r. z., nie ulega więc wątpliwości.

Tymczasem akcya wojenna oddziałała w sposób zbawienny na charakter narodowy we Włoszech. W wstępie do wydanych niedawno pamiętników Barrasa, sławny dziejopisarz francuski Duruy, skarciwszy „mieszczański i pozy-

---

2)

SYRENA

przez

K. W....l.

(Ciąg dalszy).

Na to Staś B. odparł z uśmiechem sarkastycznym:

— Ja wprawdzie także jeżdżę czasem na wyścigach i jak wiadomo, bardzo konie lubię, więc może się na tę sprawę stronniczo zapatruję, ale tu Prawdzica muszę wziąć w obronę. Wziął się do tego co umie: do gospodarstwa i sportu, a że to umie, tego dowiódł i dowodzi. U nas częstokroć ludzie siebie i swoje zdolności przeceniają, a nawet przyzna pan dobrodziej, że są i tacy posłowie, którzy o mandat starają się nie na to, aby go spełnić i być użytecznymi, ale albo dla karyery, albo tylko przez próżność. Ja mu mam za dobre to, że nie podejmuje się zadania, do którego nie dorósł; bo przypuszczam, że się na siłach nie czuje, a wolę, że gospodaruje, chowa konie i jeździ na wyścigach, niż żeby kiedyś może miał... przepraszam za wyrażenie: „zbłaźnić się“ w życiu publicznem, jak się to chyba niejednemu zdarzyło.

Była to złośliwa aluzya do jakiegoś „fiasco“, które się wydarzyło owemu posłowi przy jednem z niedawnych wystąpień parlamentarnych.

Poseł się skrzywił i wstając rzekł:

— Pojmuję, że pan przyjaciela gorąco bierzesz w obronę, ale jednak obstaję przy swojem, że nie godzi się, aby człowiek inteligentny, szlachcic i ziemianin najwyższą ambicyę pokładał w rzemiośle masztalerza i dżokieja; i dlatego utrzymuję, że Prawdzic ma bzika; jak mówią ruscy chłopi „ne wsi w doma“, — dodał, wskazując palcem na czoło. — Dobranoc panom, dobrej zabawy.

Zaledwo wyszedł, ktoś się odezwał, zwracając się do Stasia:

— Ależ toś go splantował!

— Bo mnie to gniewa — odparł Staś — a on pił i do mnie, bo wie, że i ja często drwię z ich ambicyi politycznych, do których nie dorośli.

— Zawsze ty większym kieliszkiem przypiłeś do niego. No, panowie, dwunasta, czas jechać do „Zośki“, — i wyszli.

II.

Henryk Drogosław kłamał wierutnie, mówiąc, że go życie wiedeńskie męczy, i że mu się sprzykrzyło. On byłby całą zimę przesiedział w tej nowożytnej Kapui; miał młodość, czas i pieniądze, był bardzo dobrze widziany w towarzystwach, w których dużo bywał i bawił się doskonale. A jednak uciekał z Wiednia. Przyjechał tam na początku zimy jedynie w celu zabawienia się, bez żadnych poważniejszych zamiarów; o żenieniu się nie myślał wcale. Porobił wizyty i rzucił się w wir życia karnawałowego.

Pomiędzy innymi był tam salon wdowy, Polki z domu, która jednak po mężu obce nosiła nazwisko. Młodzież bardzo lubiała tam bywać z powodu swobodnego tonu, jaki w tym salonie panował. O przeszłości pani samej rozmaicie mówiono: byli tacy, którzy jej bronili; były panie, które sławę jej szarpały; stanowczego jednak skandalu nie wymieniano, a z powodu koligacyi z własną jej rodziną w kraju, a z rodziną męża w Wiedniu, całe towarzystwo utrzymywało z nią stosunki. Matrony — zwłaszcza mające córki na wydaniu — trzymały się nieco ostrożnie z daleka i pokazywały się tam rzadko; ale młode mężatki, rozwódki, wdówki, często lubiały tam bywać. Dla mężczyzn zaś było to ulubione miejsce zebrania, czy to na herbatę przedobiednią (five o' clock tea), czy też po teatrze, albo przed jakimś balem. Zawsze się tam zastawało większe lub mniejsze kółko gwarne i wesołe; bawiono się doskonale, „flirt“ kwitnął, a jeśli czasem on bywał „fin de siècle“, to od czegoż wachlarze? Tej zimy właśnie bawiła u pani Sabiny daleka jej krewna, którą matka przysłała, żeby się zabawiła, poznała wiedeńskie towarzystwo i — jeśli się uda — za mąż poszła. Prawdę mówiąc, nie był to ten rodzaj salonu, któryby polecić należało dla panny na wydaniu; czy jednak matka owej panny nie wiedziała o przeszłych awanturkach pani Sabiny, które sobie na uszko podawano; czy patrzała na nie przez różowe szkła przyjaźni; czy też pilno jej było córkę wydać.. dość, że ją oddała pod opiekę kuzynki. Przyznać trzeba, że tę kuzynkę widywała tylko w kraju, a najmniejszego nie miała wyobrażenia o swobodnym, czasem nawet lekkim tonie, panującym w jej salonie wiedeńskim.

Panna Iza miała lat dwadzieścia jeden, była bardzo przystojna, eleganckiej figury i manier i zawsze bardzo dobrze ubrana. Bez kokieteryi, lecz bardzo naturalna, nie wyglądała wcale na typową polską pannę; przeciwnie miała właśnie „szyk“ egzotyczny, internacyonalny; przypominała te eleganckie postacie, które się spotyka na wielkich dworcach kolei europejskich, przy „table d'hôte“ wielkich hoteli, na pokładach parowców, a które muszą zwrócić uwagę wiejącą od nich atmosferą dobrego i wytwornego towarzystwa. Bardzo wykształcona, rozmawiała doskonale bez najmniejszej nieśmiałości, a z wielką naturalnością i swobodą równie z bratem szlachcicem przybyłym z kraju, jak z wiedeńskim „Cavalierem“, który przez szkiełko w oku impertynencko się jej przypatrywał, jak gdyby robił inwentarz jej wdzięków.

Prawdzic, który przez czas swego pobytu w Wiedniu bywał częstym gościem u pani Sabiny, lubiał bardzo rozmawiać z panną Izą, ale nie był to wcale „flirt“; nazwał ją „*un bon garçon*“ (dobrym chłopakiem) i traktował trochę jak młodszego towarzysza. Może mu się w niej podobała właśnie ta egzotyczność; ubierała się — zwłaszcza z rana — trochę z męska i przypominała mu te Angielki, które w Wenecyi na placu św. Marka sypią ziarnka kukurudzy gołębiom, albo Nicei na Promenade des Anglais wożą się faetonami.

On do salonu pani Sabiny wprowadził Drogosława, któremu się także Iza podobała, — i który od razu stanął z nią na tej samej stopie kamaraderyi, co i Prawdzic, tak jak gdyby się byli znali od dawna.

Pani Sabina, która od niedawna — w sam czas skwitowała była z sukcesów osobistych, bardzo była kontenta, że z młodą, przystojną, elegancką a wygadaną panną przybywa jej salonowi nowa „attraction“, ale chciała ją wydać, bo na to jej Izę przysłano.

O Prawdzicu mowy być nie mogło, bo traktował tę pannę zanadto „en camarade“, nie flirtował, tylko plótł co mu na myśl przychodziło, i — wyjechał na Rivierę. Widocznie więc o nim nie było co myśleć.

Ale Drogosław był zupełnie inną zwierzyną: przystojny, młody, wykształcony, mógł się pannie podobać; dobrego rodu, majętny, był dobrą partyą, — czemużby go z Izą nie ożenić?

Bywał często, ledwie że niecodziennie; chętnie z Izą rozmawiał, tańczył i flirtował. Pani Sabina ułożyła sobie, żeby się pobrali.

Zrana przy kominie leżąc na szezlongu pani Sabina zapytała „ex abrupto“ Izę:

— Poszłabyś za Drogosława, gdyby się o ciebie oświadczył?

— Poszłabym. Mniejsza o to, — ten, czy inny.

— Podoba ci się?

— No tak — ni mniej, ni więcej, niż inni, młody, przystojny, dobrze urodzony i wychowany, majętny, czegoż więcej potrzeba?

— A — ty jesteś „fin de siecle“! ale praktycznie rzeczy bierzesz, ja ci to urządzę; kokietuj go.

— Kiedy nie umiem.

— To staraj się potrafić. Okazuj mu tylko, że lubisz z nim tańczyć, rozmawiać, pochlebiaj jego próżności, bo na to mężczyzni się zawsze łapią, a do końca karnawału ja cię za niego wydam.

Drogosław, jak już wspominiano, bywał często w salonie pani Sabiny, był niby „flirt“ między nim a panną Izą. Jemu się nie śniło o żadnych zamiarach. Ot, bywał u pani Sabiny, bo mu tam było swobodnie, rozmawiał z Izą, bo mu się z nią dobrze gadało.

Kiedyś na balu, u któregoś z ministrów, powiedziała mu pani Sabina:

— Jeśli pan jeszcze nie angażowany, niech pan mnie dziś poprowadzi do kolacyi; prosił mnie ten nieznośny baron E., ja mu odpowiedziałam, żem już angażowana, więc pana zapraszam.

— Bardzom pani wdzięczny za ten zaszczyt.

— Możeby pan wolał przy kim innym siedzieć, naprzykład przy Izie?

Zrobił wielkie oczy i odrzekł:

— Bardzo lubię rozmawiać z panną Izą, bo dobrze rozmawia, ale o wiele wolę z panią, bo dużo swobodniej rozmawia się z mężatką lub wdową, niż z panną. Ja się na chowie i edukacyi panien nie znam.

— Pleciesz pan, nie wiedzieć co — odrzekła, uderzając go wachlarzem po ręku.

Przy kolacyi siedzieli obok siebie, on jej mówił komplementa o ramionach i gorsie, które przyjmowała tak chętnie i czule jak każda starzejąca się, a nie chcąca postarzeć się kobieta, którą one już coraz rzadziej spotykają. Jadła dużo, a Drogosław ciągle dolewał szampańskiego wina.

Kiedy ją odprowadzał od kolacyi, powiedziała mu wprost:

— Kiedyż pan już przyjdzie do mnie z oficyalnem oświadczeniem?

Aż go ciarki przeszły, bo przyszło mu na myśl, że o nią chodzi; — i popatrzył na nią — gors i ramiona prześliczne, ale z tem wszystkiem antyk; więc wyjąkał:

— O co?

— No jakto? czyż Iza się panu nie podoba

— Ale bardzo, miła i zachwycająca

— I nie myśli się pan z nią żenić?

— No — aż tak mi się nie podoba, żebym sobie powiedział: „ta albo żadna.“

— Więc cóż pan myśli?

— Myślę, że gdybym musiał był się żenić z każdą, która mi się podobała, to miałbym chyba więcej żon, niż sułtan turecki.

— Muszę panu powtórnie powiedzieć, że pan plecie głupstwa, i widzę, że dziś z panem na seryo mówić nie można; niech pan przyjdzie jutro do mnie o drugiej, to pogadamy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tywistyczny" wstręt do wojny, zauważa: „Wojna ma pewną funkcyę w ustroju świata, a ta funkcya nie jest wyłącznie złoczynną. Burza zrywa gałęzie, wykorzenia drzewa, rozpruwa rolę. Ale oczyszcza powietrze. Tak samo wojna. Niszczy ona na polu materyalnem; na polu moralnem często odmładza. Męskie cnoty, o których naród, pogrążony w sobkostwie i rubasznych żądzach, czasem zapomina — a które są warunkiem jego bytu — wojna ożywia, stawia w blasku, i tym sposobem ocala naród od powolnego rozkładu, który go podtrzymywał; wojna zadaje bolesne rany, ale odmładza". Ktokolwiek w ostatnich miesiącach czytywał uważnie dzienniki włoskie, mógł się codziennie przekonywać o tym odświeżającym naród wpływie wojny afrykańskiej. Równie namiętne, jak w gruncie rzeczy błahe spory parlamentarne, niskie rywalizacye stronnictw raczej o posady, niż o zasady, skandale bankowe i inne: to wszystko nagle zniknęło z łamów dzienników, zapełnionych depeszami i korespondencyami z widowni wojny afrykańskiej. Cała uwaga publiczna zwróciła się na zadanie Włoch jako wielkiego mocarstwa, na ruchy wojenne, a następnie także na wielkie kwestye polityki europejskiej, pośrednio lub bezpośrednio połączone z wyprawą abisyńską. Wszystkie stronnictwa, wyjąwszy skrajnych socyalistów, nagle stanęły pod sztandarem solidarności narodowej.

Żałobne nabożeństwa za poległych w Afryce żołnierzy włoskich odbywają się we wszystkich miastach. W Wenecyi, jak w Genui i Neapolu tłumy odprowadzają do Afryki pułki odprowadzają i żegnają grzmiącemi „evv va". Składki na pomnik dla Toselliego i szpadę honorową dla Galliana wykazują zadziwiające, ze wszystkich najniższych warstw ludności włoskiej, sumy. Najprostszy liścik prywatny którego z oficerów lub podoficerów włoskich w Afryce do rodziny, ogłaszany w dziennikach, sprawia silniejsze wrażenie, niż dawniej najzdolniejsze pamflety Cavalottego i deklamacye Imbrianiego. W Watykanie Papież udziela błogosławieństwa śpieszącym do Afryki ochotnikom, jak książę Chigi, a w pałacu królewskim Umberto I nie sypia nocami, aby przeczytać natychmiast ostatnie depesze z Adigratu. Słowem wojna, obudzając uczucie solidarności i honoru narodowego — oczyściła powietrze.

Naród w takiej chwili nie ma czasu skrupulatnie badać, czy wojna, którą toczy, jest zupełnie sprawiedliwą? Ale także bezstronny sędzia w danym razie będzie się wystrzegał wydać wyrok ostateczny. Jeżeli, zwłaszcza Francuzi i ich opiekunowie rosyjscy usiłują wszelkiemi sposobami rozpowszechnić teoryę niesprawiedliwości wojny włoskiej w Abisynii, obłuda jest widoczna. Francya zagarnęła z kolei Algieryę, Tunezyę, a świeżo Madagaskar. Preteksty do tej ostatniej wyprawy dostarczyły właśnie te same powody, które wywołały wojnę Włochów z Menelikiem. Królowa Madagaskaru niegdyś zawarła z Francyą traktat, według którego nawet w stosunkach z obcemi mocarstwami przy rzą rządu francuskie go. Nie dotrzymując umowy, poczęła się zbliżać bezpośrednio do innych mocarstw. stąd wojna, zakończona, jak przy zwykłej, ogłuszają okupacyą przez Francyę. Ambitny kacyk Szoi w roku 1889 zawarł podobny traktat z Włochami, potem wszedłszy w konszachty z Francyą i Rosyą, mianowicie w roku 1894 podburzył Batagosa i Mangaszę do rokoszu, aż wreszcie sprowadził wojnę z Włochami. Jeżeli więc komu, to z pewnością nie Francyi przysługuje prawo wytykać Włochom „niesłuszność" wojny w Afryce. Ale nadto obecnie cała Afryka bezpośrednio (na brzegach) albo pośrednio (tak zwana strefa interesu) jest podzielona pomiędzy mocarstwa europejskie. Anglia panuje nad Egiptem i nad częścią południowej Afryki, Francya w Tunezyi, Algieryi i t. d. Cesarstwo marokańskie pozostaje pod wpływem Hiszpanii. Portugalczycy panują na zachodnim i wschodnim brzegu południowej Afryki. Niemcy opanowały ogromną strefę we wschodniej Afryce. Cały jej środek, państwo Kongo, pozostaje pod władzą króla belgijskiego i t. d. i t. d. „Wo alles liebt, kann Karl allein nicht hassen". Dla czegoż je tylko Włochom wytykać jako zbrodnię pożądliwość, gdy wszyscy inni śpieszą „szerzyć cywilizacyę w Afryce"?

Ale prawda, Abisynia jest nibyto państwem chrześcijańskiem. Powiadamy: nibyto, bo zachodzi wielkie pytanie, czy owo sekciarstwo monofizyckie, zeszpecone jeszcze żydowskiemi i mahometańskiemi naleciałościami, które w różnych instytucyach publicznych i społecznych pozostała na tym samym stopniu rozwoju, na którym stała w VI-tym wieku po Chrystusie, zasługuje istotnie na nazwę chrześcijaństwa? Najpoważniejsi, bezstronni podróżnicy, a zwłaszcza misyonarze katoliccy, pomiędzy nimi tak znakomici, jak kardynał Massaja, stanowczo temu przeczą. Ale my w tej chwili nie mamy czasu rozbierać kwestyi à fond. Uczynimy to na innem miejscu. Przypuśćmy jednak, że ów monofizycki kościół abisyński zasługuje na nazwę chrześcijańskiego (*posito sed non concesso*), czyżby to mogło tworzyć argument stanowczego potępienia wyprawy Włochów do Abisynii? Wszakże w r. 1878 Austro-Węgry wstąpiły krwawym bojem zajęły Bośnię i Hercegowinę, prawowicie chrześcijańskie. Dla czego się zajęły? Ponieważ tam w interesie tej prowincyi trzeba było stłumić anarchię, wprowadzić jakiś ład, podnieść ludność z materyalnego i moralnego upadku. Prawda, że ta okupacya nastała wskutek uchwały kongresu berlińskiego. Ale już w kilka lat potem inna konferencya berlińska „uporządkowała" sposób okupacyi terytoryów afrykańskich przez mocarstwa europejskie. Możnaby zauważyć, że wielkie mocarstwa, reprezentowane na konferencyi r. 1885, jak na kongresie r. 1878, nie miały przyrodzonego prawa ani rozporządzać Afryką, ani Turcyą; a nie odmawiamy temu zastrzeżeniu bynajmniej wielkiej zasadniczej doniosłości. Ale ostatecznie jeżeli w imię uchwał kongresu berlińskiego zajęto Bośnię i Hercegowinę, choć chrześcijańskie, to tak samo w imię zasadniczych uchwał konferencyi berlińskiej r. 1885 Włochom przysługuje wszelkie prawo zajęcia Massawę, z czego potem wywiązała się wojna z Abisynią.

W każdym razie nie zasługują na żadną wiarę tendencyjne plotki, jakoby dwaj sprzymierzeńcy nieżyczliwie spoglądali na afrykańską akcyę Włoch, a nawet doradzali rządowi włoskiemu zaniechać jej czemprędzej. Podobna interwencya, choćby wykonana w najprzyjaźniejszej formie, mogłaby tylko, a nawet musiałaby we Włoszech wywołać powszechną niechęć do ligi potrójnej, której bliskie przedłużenie właśnie teraz zajmuje dyplomatów. Dość, że Włosi wyrzekają się wszelkich ambitnych zamiarów w Europie. Gdyby jednak liga potrójna nie dostarczała im pośrednio tyle pomocy, albo wyraźniej mówiąc, bezpieczeństwa, aby mogli bez obawy załatwić swój zatarg z Menelikiem, jakieżby wtenczas znaczenie miał dla Włoch sojusz z Austro-Węgrami i Niemcami? Na seryo więc mowy o tem być nie może, aby w Wiedniu i w Berlinie spoglądano z niechęcią na wojnę Włochów w Abisynii. Że tak na nią spoglądają w Paryżu i Petersburgu — to rzecz naturalna. Ale właśnie dla tego nie sądzą tak w Wiedniu i Berlinie. Inaczej wszelkie kombinacye dyplomatyczne, umowy, sojusze i wspólne cele byłyby prostą igraszką pustych słów.

Sprawy sejmowe.

Komisya szkolna obradowała tymi dniami nad wnioskiem p. Rottera, tyczącym się reformy szkół średnich. Ożywiona dyskusya, w której wziął udział zaproszony na posiedzenie wnioskodawca, nie doprowadziła jeszcze do żadnego pozytywnego rezultatu, gdyż komisya żadnej stanowczej uchwały nie powzięła.

Pierwszy zabrał głos p. Rey, który w przemowie swej powtórzył zapatrywania wygłoszone przed kilku laty w Sejmie.

P. Rey podziela zapatrywanie wnioskodawcy dyrektora Rottera, i sądzi, że do poznania ducha helenizmu skuteczniej się dochodzi przez obfitą lekturę wzorowych tłómaczeń arcydzieł greckich, niż przez częściowe z niemi zaznajamianie się w oryginale. Jednakże co do praktycznego rozwiązania ustroju szkół średnich, byłby mówca raczej za bifurkacyą tych szkół w klasach wyższych.

P. Cielecki oświadczył się za koniecznością utrzymania języka greckiego; bo tylko za jego pomocą poznać można dokładnie ducha cywilizacyi greckiej.

P. Wojciech Dzieduszycki nie sądzi, ażeby Sejm miał i mógł nad takiemi rzeczami obradować bo to należy do kompetencyi ciał fachowych. Znajomość rysunku mniej się przyczyni do zrozumienia sztuki heleńskiej, aniżeli poznanie początków języka greckiego. Język ten w wyjątkowym stopniu ćwiczy umysł, a cywilizacyjnej doniosłości języka greckiego nie upatruje mówca w korzyściach, jakie odnieść mają jednostki, lecz w korzyściach, jakie odnoszą społeczeństwa. Przekonany zatem, że pozbawienie naszego społeczeństwa języka tego odcięłoby nas od cywilizacyi zachodniej, oświadcza się mówca przeciw usunięciu tego języka z programu nauk gimnazyalnych. Sądzi on, że w 10-letnim chłopcu już się objawiają charakterystyczne zdolności ku jednemu lub drugiemu kierunkowi wiedzy wyższej, lecz mimo to oświadczyłby się mówca za myślą bifurkacyi szkół średnich.

Poseł Stanisław Tarnowski jest zdania, że jednolita szkoła średnia (bez greki, natomiast z nauką rysunków i ewentualnie językiem francuskim) sprowadziłaby złe skutki. Technik potrzebuje więcej matematyki i nauk przyrodniczych, niż dają dzisiejsze gimnazya, a więc straciłby na nowym systemie nauki; przyszłemu słuchaczowi uniwersytetu brakłoby szerzej traktowanej historyi powszechnej której naukę należałoby w szkole średniej okroić, jeżeliby projekt p. Rottera przyjęto tak, że po 8 latach nauki młodzież nie byłaby przygotowana do zrozumienia nauk wyższych. Nie o korzyści doraźne z nauki języka greckiego idzie tutaj, lecz o to, iż z lektury autorów zostanie w głowie zdolność myślenia i sądzenia. Być może że po zastąpieniu greki językiem francuskim i rysunkiem, miałaby młodzież więcej wiedzy, lecz z pewnością mniej dojrzałości, a obniżenie poziomu wykształcenia byłoby tego skutkiem.

Rektor Smolka konstatuje, że zaczęła się obecnie ogólna krucyata przeciwko językowi greckiemu i przestrzega przed następstwami usunięcia tego przedmiotu. Gdyby zabrakło gimnastyki umysłu, do której nauka języka greckiego, jak żadna inna się nadaje, — mówca obawiałby się następstw tego faktu. Lękałby się gdyby gimnastyki tej zabrakło wykształconym ludziom wszystkich zawodów, lękałby się konsekwencyi prawnych wobec innych krajów monarchii, lękałby się dalej konsekwencyi intelektualnych wobec sąsiednich narodów. Zgodziłby się na bifurkacyę szkół średnich, lecz nie chciałby dochodzić do tego drogą ankiety, bo toby mogło umysły zaniepokoić i wywołać złe skutki w szkołach.

Poseł Bobrzyński zaznacza, iż wzgląd co do trudności obierania zawodu we wieku zbyt młodocianym usunąćby można, zostawiając tylko same gimnazya, bo z gimnazyów można iść na technikę. Zresztą w gimnazyach uczą i rysunków nadobowiązkowo. Jeżeliby zachodziła potrzeba, ażeby wykształcenie ogólne realistów podnieść, to możnaby dać im jeszcze łacinę.

Z drugiej strony zniesienie szkół realnych mogłoby utrudnić wielkiej liczbie młodzieży możność wyższego kształcenia się, bardzo potrzebnego, bo nam techników potrzeba. Dalej sądzi mówca, że motywa samego wniosku, jako ujemnie przedstawiające obecny system szkół, są niewłaściwe, a wreszcie wątpi, żeby ankietę zwołać można drogą porozumiewania się dwóch ciał, t. j. Wydziału krajowego i Rady szkolnej. Lepiej jest czekać na rezultaty nauki podług nowych planów szkół realnych, a nie za wcześnie żądać zmian nowych.

Rektor Balzer podnosi, że jeżeli jakiej zmiany pragnąłby w gimnazyach, to uwzględniania rysunków, ale nie ze względów praktycznych korzyści, jakie one przynosiłyby księdzu prawnikowi i t. d, tylko ze względu na doniosłość rysunków w kierunku ogólnego wykształcenia. Dalej sądzi mówca, że przez urządzenie jednolitej szkoły średniej właśnie technicy, którzy się tego domagają mogliby wielo stracić, gdyż taka szkoła ich potrzebom w tym stopniu nie uczyniłaby zadość, co dzisiejsze szkoły realne. Społeczeństwo zaś na takiem przekształceniu stanowczoby straciło, okazałoby się, to dopiero po jakich latach 30, gdyby ludzi ze szkół dzisiejszych brakło. Niezawodnie wtedy społeczeństwo nasze nie dotrzymałoby kroku narodom innym w postępie cywilizacyjnym.

P. Wachnianin sądzi, że nie potrzeba tak radykalnej zmiany jak ją p. Rotter proponuje. Natomiast zaznacza, że w niejednym kierunku w obrębie istniejącego planu i systemu możnaby wprowadzić ulepszenia, któreby sprawę poprawiały stopniowo i statecznie.

P. Kramarczyk oświadcza, iż jakkolwiek nie czuje się kompetentnym w tej sprawie, to jednak z uwagi, że wszystkie zawody, i sędzia i lekarz i ksiądz i adwokat i t. d., nie są zadowolnione z dzisiejszego stanu rzeczy, wnosić należy, że czegoś w szkolnictwie musi niedostawać, i że poprawa jest przez to konieczna.

P. Rotter, odpowiadając mówcom przeciwnym wnioskowi, zaznacza, że wprawdzie na każdy argument znalaźćby mógł stosowną odpowiedź, lecz wobec pory spóźnionej, ogranicza się do wyjaśnienia kilku najważniejszych punktów.

W r. 1888 Sejm uchwalił rezolucyę domagającą się reformy szkół średnich. Zdaje się więc mówcy, że wniosek jego nie jest niewłaściwy, bo od tego czasu stosunki szkolne nie uległy znaczniejszej zmianie.

Co do tego, jakoby właściwości wyłącznej greckiego języka, działającej na rozwój ducha i umysłu, nie można zastąpić niczem innem, to twierdzenie stoi przeciwko twierdzeniu, dowodu zaś dziś żadna strona nie przeprowadzi. Że zaś nawet w przekonaniu niektórych panów, wygłaszających zdania przeciwne, nie wszystko jest w szkolnictwie naszem dobre, świadczą o tem słowa posła Dzieduszyckiego i rektora Smolki, którzyby się oświadczyć radzi za bifurkacyą. Widocznie przeto upatrują w tem coś lepszego nad to, co jest dziś, a więc dzisiejszy stan jest chyba niedobry.

Mówca z całym spokojem, nawet w razie chwilowej przegranej, wierzy w siłę przedstawionej przez niego sprawy, ma bowiem przekonanie, że przyszłość do niej należy i twierdzi, że gdy braknie kiedyś ludzi z dzisiejszego systemu szkolnego, to nie tylko, że się wobec innych nie cofniemy, lecz ich wyprzedzimy.

Po zamknięciu rozpraw wybrała komisya referentem dla wniosku o reformie szkół średnich rektora Balzera.

Paweł Verlaine

Przemawiając kilka dni temu nad otwartym grobem Pawła Verlaine'a, nazwał go Franciszek Coppée — wielkim poetą. Czy kiedyś przyszłe pokolenia ten wyrok potwierdzą, czy echo wieków będzie powtarzało pieśni Verlaine'a i czy potomność na spiżowych tablicach sławy imię jego na zawsze wyryje — to pytania, na które trudno z góry odpowiedzieć. Starożytni mawiali, że nikt przed śmiercią nie jest szczęśliwy; równie dobrze możnaby powiedzieć, że nikt zaraz po śmierci nie jest wielki. Laury, złożone na świeżej mogile, nie przetrwały nieraz jednej zimy i na odwrót, na starych zapokrzywionych grobach wyrastał wawrzyn czasem po dziesiątkach lat, czasem po wiekach.

Sąd współczesnych bywa przedwczesny — przecenia lub krzywdzi. O stanowcze zdanie o Verlaine'ie, jest może trudniej niż o kim innym, bo zmarły poeta był głową i wodzem całej poetyckiej szkoły, która dotąd jeszcze ma równie zagorzałych przeciwników jak zwolenników, a nawet pieśni Verlaine'a same w sobie wzięte, są odbiciem pewnych dzisiejszych, — może chwilowych — prądów życia umysłowego, których my, współcześni, bezstronnie nie możemy ocenić.

„Szkoła poetycka" — już w samem tem określeniu tkwi coś fałszywego, jakieś dobrowolne i świadome zrzeszenie się samodzielności artystycznej jej adeptów — jakieś formowanie batalionu poetów, który ma walczyć w obronie pewnych estetycznych, powziętych z góry haseł. Bo i jakże tworzą się poetyckie szkoły? Przychodzi talent świeży i samoistny i rzuca światu dzieła swoje, łamiące cały dotychczasowy akademiczny kodeks, gwałci prawidła i olśniewa nowością. Gromadzą się koło niego talenciki i talenciątka pomniejsze, przyciągnięte doń, jak opiłki żelaza do magnesu, małpują każde jego pociągnięcie piórem, z jego cech indywidualnych robią sobie nowy kodeks, nową estetykę, zazwyczaj równie ciasną jak dawna. A gdy jeszcze wynajdą sobie jaką wspólną etykietę, którąby efektownie brzmiała, to już i nowa szkoła gotowa. Zazwyczaj kończy się na tem, że pomiędzy młodszymi adeptami zwycięskiej szkoły, znajdzie się znowu talent wybitniejszy, któremu zaczyna być duszno w szeregach, rzuca światu dzieła swoje, łamiące dotychczasowy kodeks etc. etc. *Es fängt wieder von vorne an...*

Żaden prawdziwy talent szkoły swej dobrowolnie nie tworzy, stwarza się ona koło niego sama, oplata go, krępuje, często-kroć dusi.

Zamiast się bronić i swych przedrzeźniaczy się wyprzeć, talent przyznaje się do nich przez przyjaźń i próżność, to, co było bezwiedną cechą jego indywidualności, ogłasza sam za dogmat poetycki, z twórcy staje się estetykiem, z poety polemistą i nie idzie już naturalną drogą rozwoju. Trzoda naśladowców reklamuje go, łasi mu się zgraja pochlebców, czepia go się legion miernot, krzyczą i skaczą dokoła niego, jakby z uciechy, że talent zabili.

Podobnie działo się z Verlaine'em, podobny przynajmniej był jego stosunek do szkoły dekadentów. Gdyby dłużej był pożył — byliby go uczniowie i naśladowcy zdusili, jak tylu innych. Śmierć zabrała go, zanim jeszcze pod ich wpływem mógł się zmanierować ostatecznie. Ale uwielbiany i okadzany, małpowany i podrabiany, zaczynał się już powtarzać — i z poezyi swoich i swych przyjaciół zdążył już ukuć nową poetykę, która się streszcza w jego „Art poétique" i „Poètes Maudits".

Urodzony w roku 1844, w dwudziestym pierwszym roku życia wystąpił na widownię z tomikiem wierszy, zatytułowanym „Poèmes Saturniens". Ojcem jego duchowym i nielicznych jemu pokrewnych i współczesnych talentów był Karol Beaudelaire. Grupa ta nie była jeszcze szkołą, członków jej nie wiązały jeszcze wspólne zasady estetyczne, łączyła ich tylko wspólna chęć szukania rozmaitych nowych dróg po za szkołą i szablonem parnasistów.

O tym pierwszym swoim tomie mówi sam Verlaine „que ce recueil eut parmi la presse un joli succès d'hostilité" (że ten zbiorek doczekał się w prasie wielkiego powodzenia nieprzyjaznych uczuć). Wydawane rok po roku następne dwa tomy „Les fêtes galantes" i „La bonne chanson" doznały nieco lepszego przyjęcia i rówieśników poety zmieniły w jego uczniów i adeptów, a jego samego w mistrza szkoły dekadentów. Z dawniejszych pokrewnych poetów Artur Rimbaud objął między dekadentami ministeryum plastyki i kolorystyki poetyckiej — teka muzyki i fonetyki wierszowej dostała się Stefanowi Mallarmé. Pierwszy z nich wypisał się umarł przedwcześnie, drugi zestarzał się, zdziwaczał i usunął się od świata, to też z biegiem czasu patryarchat dekadentyzmu przeszedł niemal wyłącznie w ręce Verlaine'a.

Na razie owe trzy pierwsze jego tomy pisane były w duchu beaudelaire'owskich „Fleurs du mal"; w duchu, ale nie w formie, bo już od początku Verlaine miał swoją oryginalną formę. Wiersz jego posiadał jakąś miękką, słodką melodyjność i tok nieuchwytny, na pozór niedbały, jakby od niechcenia płynący, a przytem pewną sztuczność niespodziewanych wyrażeń i misternych rymów. Co się tyczy treści, to wiersze te nie wznosiły się jeszcze ponad zwykły poziom innych epigonów Beaudelaire'a; składał się na nie wyuzdany częstokroć sensualizm, mieszający się z chorobliwie mglistym mistycyzmem, a łzawa rzewność i smutek przechodziły ni stąd ni zowąd w nerwowy wybuch cynizmu i brutalności.

Te rysy dzieł tak z sobą sprzeczne odpowiadały rozstrojonej neurastenią naturze człowieka. Na delikatnym i nerwowym jego organizmie odbiło się szalone cygańskie życie, jakie prowadził podczas studyów uniwersyteckich po wyjściu z liceum Condorcet. Wychowany w tym świetnym, rozhukanym i zepsutym Paryżu drugiego cesarstwa, poeta rzucił się wcześnie w wir studenckiego świata, używał i nadużywał młodości w najrozpustniejszych zakątkach *Quartier Latin*. U takich natur zmysłowych, a równocześnie marzycielskich, wrażliwych i namiętnych, dziecinnych a przeżytych, naiwnych a skomplikowanych zarazem, bywa czasem orgia zmysłów nie celem, lecz środkiem do pobudzenia władz umysłowych. Umysły takie, jak Verlaine, potrzebują instynktownie ciągłych akcyi i reakcyi: wzlatują, gdy poprzednio spadły; żeby zatęsknić ku słońcu, muszą wytarzać się po ziemi. Verlaine szedł nieświadomie za tą potrzebą swej natury, folgował wszystkim popędom, szukał wrażeń, upajał się niemi, wznosił się, spadał i znowu wzbijał w górę.

Ustawicznie nadużywana wrażliwość potrzebowała coraz nowych, coraz anormalniejszych podniet. Rozstrojony rozpustą i absyntem organizm popadał w zboczenia przeciwne naturze. Nieszczęśliwe małżeństwo popychało poetę coraz dalej na tej drodze. Wreszcie przyszło do skandalicznego procesu, który zakończył się osadzeniem Verlaine'a na lat parę w więzieniu. Wstyd, ból i zgryzota owładnąć musiały tem rozranionem sercem i tem nagle przebudzonem sumieniem. Jak się duch tego nędzarza tłukł o mury i kraty więzienne, po jakich ciemnych drogach tułał się jego umysł w zwątpieniach i rozpaczach, tego dzisiaj nikt nie wie. Dość, że z więzienia wyszedł zupełnie inny człowiek, smutny i cichy, skruszony i nawrócony. Zaraz potem ukazała się „*Sagesse*", (Mądrość) tom poezyi treścią całkiem niepodobny do poprzednich. W przedmowie Verlaine pisał sam o sobie: „*L'auteur a publié très jeune des vers sceptiques et tristement légers. Il ose compter, qu'en ceux-ci nulle dissonance n'ira choquer la délicatesse d'une oreille catholique...* *)"

Są w tym zbiorku rzeczywiście poezye, jakby natchnione płomiennym duchem Świętej Teresy. Do najcudowniejszych należą te mistyczne sonety, w których naprzemian grzesznik mówi do Chrystusa i Chrystus do grzesznika, lub ten wstępny wiersz, wzruszający głębokością skruchy:

> O mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour
> Et la blessure est encore vibrante
> O mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour
>
> O mon Dieu, votre crainte m'a frappé
> Et la brûlure est encor là qui tonne
> O mon Dieu, votre crainte m'a frappé

Coraz żałośniejsze, coraz pokorniejsze idą te strofy, jak długi szereg płaczących pokutników i skarżą się i lamentują - a ta przejmująca spowiedź publiczna kończy się rzewnem wołaniem do Boga:

> Vous connaissez tout cela, tout cela,
> Et que je suis plus pauvre que personne,
> Vous connaissez tout cela, tout cela...
>
> Mais ce que j'ai—Mon Dieu—je vous le donne.

„*Sagesse*", która, mojem zdaniem, będzie najtrwalszem, bo jest najgłębszem i najgorętszem z dzieł Verlaine'a, wyszła w 1881. W trzy lata później ukazał się nowy tomik poezyi: „*Jadis et Naguère*" (Niegdyś i Niedawno) od dawnych wierszy sensualistycznych niezawodnie lepszy, ale w tonie i w treści do nich zbliżony. Zkądże znowu ta zmiana, ten powrót do owych „*vers sceptiques et tristement légers*"?

Tłómaczy to sam Verlaine w „*Poètes Maudits*" (Wyklęci poeci). „Nawróciłem się i wierzę, a jednak grzeszę myślą i uczynkiem — wierzę, skruszony jestem w duchu i pragnąłbym zupełnie poprawić się i w życiu. Wierzę i jestem dobrym chrześcijaninem, wierzę, a bywam złym chrześcijaninem chwilę później. Wspomnienie, pokusa, myśl o grzechu nęcą mnie, nieraz nawet równocześnie uczuwam z tego powodu wyrzuty, a nieraz i nie uczuwam. Te grzeszne wspomnienia i pokusy miewają całą wyrazistość, jakgdyby były rzeczywistością, to też przelewam je w formę poetycką dlatego, że są one wytworem i treścią mego ducha w danej chwili, jak w innej najpodnioślejsze, najczystsze porywy...". „*Un poète n'est il pas libre de tout faire pourvu que tout soit beau et bien fait*"? (Czyż poecie nie wolno tworzyć wszystkiego, byle pięknie i dobrze). Z literackiego stanowiska poeta ma niezaprzeczenie to prawo, z chrześcijańskiego niezawodnie prawa tego nie ma, ale nie o to nam idzie w tem miejscu.

Chcieliśmy sobie wytłómaczyć logicznie, w jaki sposób mógł ten sam człowiek pisać „*Sagesse*", a potem „*Jadis et Naguère*"? Verlaine sam na to pytanie odpowiedział i odtąd wydawał równolegle w krótkim odstępie czasu dwa tomy uzupełniające się nawzajem, jeden religijny i pokutniczy, jak n. p. „*Amour*" (1888) drugi, przypominający dzieła i grzechy młodości, „*Parallèlement*" (1889), o którym powiada sam, że jest to „*un recueil en vers des sensations des plus sincères mais bien osées*" (zbiorek w wierszach uczuć zmysłowych zupełnie szczerych ale bardzo śmiałych). Następny zbiór „*Bonheur*" 1889 był znowu jakby dalszym ciągiem „*Sagesse*" i „*Amour*".

Że tak dziwne sprzeczności mogły się rodzić w jednym mózgu — i to bądź co bądź anormalnym — to jeszcze można zrozumieć, ale jak sumienie chrześcijańskie naprawdę i szczerze w sercu tego człowieka rozbudzone, nie krzyczało: *veto!* — to pojąć trudno. Tłómaczy się to w części ową chorobliwą dwoistością, owym wewnętrznym rozstrojem, który od początku twórczości można u Verlaine'a stwierdzić. Nawet nawrócony i skruszony nie przestał on w swym poetyckim zawodzie przerzucać się z jednej ostateczności w drugą i talentu swego podniecać akcyą i reakcyą, przypływem i odpływem sprzecznych prądów. To też bardziej niż ktokolwiek miał prawo powiedzieć o sobie „*Je ne puis plus compter les chutes de mon coeur*". (Nie mogę już zliczyć upadków mojego serca).

W życiu przynajmniej wytrwał podobno w odmianie ku lepszemu. Obrazy dawnych występków przesuwały się tylko przez jego myśl i przelewały się na papier, nie przechodząc w czyn. Schorowany i przedwcześnie zgrzybiały organizm słabnął z każdym rokiem, tem bardziej, że poeta podkopywał go jeszcze nałogiem do absyntu, jedynym nałogiem dawnych czasów, z którego się już do końca nie otrząsnął. Verlaine ostatnie lata życia przemieszkał prawie w szpitalu. O ile mu zdrowie pozwalało, tułał się smutny, zamknięty w sobie, ubogi i obdarty po *Quartier Latin*, a wieczorami zachodził do „kawiarni literackich, gdzie gromadzili się studenci i młodzi poeci. W miarę, jak go napój rozgrzewał i oszałamiał, zaczynały mu się przygasłe oczy palić dawnym blaskiem i stłumionym, jednostajnym, a potem coraz żywszym głosem, mówił swoje harmonijne wiersze, owe żałosne, pokutnicze strofy — mówił i płakał. W żółtem świetle gazu, w kłębach błękitnego dymu, wśród uciszonego tłumu słuchaczy rysowała się jego dziwaczna, zbiedzona postać o wielkiej głowie z potężnem, wyłysiałem czołem, z nasuniętemi na oczy brwiami i siwiejącą, bezładną brodą. Robił podobno przejmujące wrażenie. W ten sposób jeden taki wieczór był przed paru laty opisany w „*Revue Bleue*", a kto widział rysunkowy portret Verlaine'a przez d'Estoppey'a, ten scenę taką tem żywiej wyobrazić sobie może.

Z pism prozą zostawia po sobie autor „Wyklętych Poetów", kilkanaście nowel, „Pamiętniki wdowca" i cały szereg biografii literackich, między któremi podaje i swoją.

Czy był wielkim poetą? Nie wiem — to pewna, że był doskonałym przedstawicielem sprzecznych objawów i prądów końca wieku i choćby już dla tego ma prawo do pamięci potomnych. Talent miał nie potężny, ani porywający, ale głęboki i szczery, cierpiał wiele i pisał pięknie, a o takich biednych i smutnych śpiewakach potomność zwykle nie zapomina i wiele im przebacza. Może też zostanie po nim więcej, niż się sam spodziewał, kiedy z melancholicznym uśmiechem zapytywał:

> ...„Et vraiment, quand la mort viendra, que
> [reste-t-il?"

Lucyan Rydel.

*) Autor, gdy był jeszcze bardzo młodym, ogłosił był wiersze pełne niedowiarstwa i smutnej lekkomyślności. Żywi jednak nadzieję, że w tych, które teraz ogłasza żaden dysonans nie zrani uszu katolika.

SEJM.

W dalszym ciągu wczorajszego posiedzenia przyjęto bez zmiany całą nowelę do ustawy konkurencyjnej z dwiema tylko nieznacznemi poprawkami stylistycznemi ks. Hamoraka.

Następnie p. A. Jędrzejowicz imieniem komisyi administracyjnej przedłożył sprawozdanie o ustawie łowieckiej.

Sprawozdawca oświadcza przedewszystkiem, iż projekt ustawy dziś w poprawionym tekście Izbie rozdano, co pochodzi stąd, iż komisya administracyjna otrzymawszy onegdaj uwagi ze strony Rządu, uznała je za słuszne i dlatego wprowadziła pewne zmiany do pierwotnego swego projektu. Sprawozdawca wyjaśnia szczegółowo te zmiany, które komisya poczyniła na podstawie uwag rządowych.

P. Bojko domagał się, aby, z uwagi, że projekt ustawy łowieckiej dopiero dziś został posłom rozdany, odroczć dyskusyę nad nim do następnego posiedzenia.

Wniosek ten Izba uchwaliła.

Odczytano w końcu złożone interpelacye:

P. Potoczek i towarzysze wnoszą interpelacyę do p. komisarza rządowego w sprawie rzekomego wyzyskiwania włościan w Niewistkach pow. brzozowskiego przez właściciela tego majątku.

P. Potoczek i towarzysze interpelują p. komisarza rządowego o oddanie gminom Naszacowice i Podgrodzie w powiecie sądeckim karczem starych kameralnych pod budowę szkoły.

P. Data i tow. wnoszą interpelacyę do Wydziału kraj. o przeniesienie zapory mytniczej w Niewistce.

P. Średniawski i tow. interpelują p. komisarza rządowego w sprawie licytacyi na dostawę kamienia dla drogi powiatowej, o której nie wiedziała nic gmina Bosina w powiecie myślenickim, w skutek czego poniosła stratę.

P. Krempa i tow. interpelują Wydział krajowy, z powodu rzekomego nielegalnego wydzierżawienia myta na drodze pow. z Mielca do granicy pow. tarnowskiego przez Wydział pow. mielecki.

Odpowiedzi, jakie komisarz rządowy hr. Łoś złożył na początku wczorajszego posiedzenia dotyczyły interpelacyi pp. Krempy, Potoczka i Bojka. Jedna z interpelacyi posła Krempy odnosiła się do wydzierżawienia prawa polowania w Cyranie powiatu mieleckiego. Owóż komisarz rządowy wykazał, że wydzierżawienie tego polowania odbyło się zupełnie legalnie. Rozpisano licytacyę, na której p. Feliks Türschmied ofiarował najwyższy czynsz, jemu więc wydzierżawiono polowanie, zaś włościan Walentego Mazura i Marka Występka dla tego nie dopuszczono do licytacyi, że pierwszy chciał wydzierżawić polowanie na rzecz gminy, co wedle ustawy jest niedopuszczalne, a drugi nie wykazał się pełnomocnictwem tej osoby, dla której chciał polowanie wydzierżawić.

Druga interpelacya p. Krempy dotyczyła bezprawnego aresztowania Marcina Niemczyckiego w Rokietnicy powiatu Jarosławskiego. Owóż reprezentant rządu oświadczył, że do starostwa wpłynęło doniesienie, iż ten Niemczycki odgraża się tym włościanom, którzy głosowali na upadłego kandydata Borowicza, że trzeba ich zabić, że trzeba z nimi porządek zrobić i t. p. Dla zbadania tej sprawy wezwano Niemczyckiego do starostwa i polecono żandarmeryi, aby postarała się, iżby on w oznaczonym dniu rzeczywiście się stawił. Żandarm przyprowadził więc Niemczyckiego do starostwa, gdzie go po przesłuchaniu wypuszczono na wolność. Było to zatem tylko przymusowe przystawienie a nie aresztowanie.

Na interpelacyę p. Potoczka w sprawie urządzenia wag dla bydła, przypomniał komisarz rządowy, że dawno już namiestnictwo odpowiednie zarządzenie wydało, że nawet w wielu gminach, zwłaszcza, gdzie odbywają się targi na bydło, wagi takie istnieją, a jest rze-

czą gmin wszystkich postarać się o nie; — wreszcie na interpelacyę p. Bojki w sprawie wyboru rady gminnej w Rymanowie, wyjaśnił, że sprawa ta obecnie znajduje się w trybunale państwa.

* * *

29 stycznia.

17-te posiedzenie otworzył marszałek krajowy o godzinie kwadrans na 11.

Po odczytaniu dalszego szeregu petycyi przystąpiono do porządku dziennego.

Sprawozdanie Wydziału krajowego o organizacyi sprzedaży soli warzonki i o soli dla bydła (sprawozdawca p. Romanowicz), odesłano do komisyi solnej, poczem rozpoczęto debatę nad projektem ustawy łowieckiej.

P. Kramarczyk opowiada historyę ustawy łowieckiej i wykazuje różnice między patentami z r. 1786 i z r. 1849, a projektem z roku 1893. Podczas gdy patent z roku 1849, wnet po zniesieniu pańszczyzny był dla włościaństwa korzystny, o projekcie z roku 1893 nie dałoby się tego powiedzieć, i tylko za poparciem p. Stadnickiego przeprowadzili wówczas posłowie włościańscy to, że projekt odesłano napowrót do Wydziału krajowego. Dzisiejszy projekt nie jest także dla włościan łaskawszy, bo wprowadza znowu rozmaite echa serwitutów. Przedewszystkiem chodzi włościanom o odszkodowanie za szkodę wyrządzoną przez zwierzynę. Sprawa ta jest w obecnej ustawie uporządkowana na wzór patentu z roku 1786, a zupełnie niestosownie, bo wtedy była jeszcze pańszczyzna i patent ochraniał tylko jeden obszar przed drugim, aby sobie wzajemnie w stosunki prawne nie wkraczały. Brzmienie § 48-go i następnych są tak bałamutne i tak utrudniają prawne postępowanie, że nikt nie może się teraz spodziewać odszkodowania, a to co tam jest wzmiankowane o jakiemś odszkodowaniu, jest illuzyą. Mówca podnosi inne okoliczności: trudności jakie ma włościanin w wyrobieniu sobie karty polowania, zakaz strzelania po za obręb 300 m. Jeżeli nie można odesłać tego projektu jeszcze raz do Wydziału krajowego, to konieczne są poprawki i to gruntowne, a nie zasadnicze.

Mowę tę, wypowiedzianą z wielką swadą, przyjęto oklaskami.

Następnie p. Okuniowski krytykował również przedłożoną ustawę i zarzucał jej, że faworyzuje obszary dworskie z krzywdą gmin wiejskich. W dalszym toku wytykał mówca, że ustawa zawiera nie tylko rażące usterki stylistyczne, ale wprost nonsensa logiczne, i tak w jednem miejscu powiada ona, że na niedźwiedzie wolno każdemu łapki zastawiać, w innem zaś orzeka, że na zające wolno stawiać łapki tylko temu, kto ma kartę polowania. Cóż zatem ma zrobić ten, kto zastawi łapkę na niedźwiedzia, aby mu się zając w nią nie złapał. Chyba umieścić na łapce napis: „Zającom wstęp wzbroniony“. (Wesołość).

Poseł włościański Bojko również oświadczył się przeciw ustawie. Mowę swą rozpoczął p. Bojko przypomnieniem, że religia nasza uczy nas: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.“ Przedłożono Izbie projekt, który włościanie muszą uważać jako krzywdzący dla nich. Krzywda ta dotychczasowych ustaw polegała na tem, że zwierzyna, jeżeli był włościaninem, to chociażby był najporządniejszym człowiekiem, nie mógł brać udziału w licytacyi polowania, bo nie miał karty na broń. Starostwa bowiem wprost nie chcą wydawać włościanom pozwolenia posiadania broni. Są takie starostwa, które mówią: „Tobie chłopie do grojla, a nie do strzelby.“ Obecny projekt ustawy niby łagodzi krzywdę i oświadczył, że ta anomalia będzie usuniętą, wszelako taka obiecanka jest niewystarczająca, bo włościanie z doświadczenia wiedzą, że jeżeli jakieś postanowienie ustawy nie jest ujęte ściśle, to interpretują je sobie, jak się im podoba.

Włościanom idzie o to, aby do licytacyi o polowanie mogło stawać jak najwięcej konkurentów, a ustawa zabrania tego właśnie tylko tym, którzy mają karty na broń, każe płacić za te karty po 5 złr. rocznie, a oprócz tego tworzy okręgi polowania.

Karty są na to, aby lada chudopachołek nie mógł polować, a okręgi myśliwskie takie nie wyjdą na zdrowie włościanom, bo czem większy obszar ktoś dzierżawi, tem taniej płaci.

W porównaniu z obecną ustawą dawne patenty z ubiegłego stulecia były nierównie bardziej postępowe. I tak patent cesarski mówił, że czarną zwierzynę, wilki, lisy wolno każdemu, o każdej porze strzelać, obecna zaś ustawa mówi, że wolno je zabijać, a równocześnie utwierdza zasadę, że strzelać nie może nikt, kto nie ma karty na broń. Jakże zatem, czem ma włościanin zabijać dzika, wyrządzającego mu szkodę? Chyba na sposób biblijnego Samsona.

A zatem komu dziki zniszczą cały zapas ziemniaków, ten jest bezbronny, bo ze strzelbą nie wolno mu wcale wyjść. O wiele lepiej było za czasów pańszczyźnianych. Wtedy wolno było każdemu tępić niedźwiedzie, dziki, lisy.

Mówca prosi o odesłanie całej ustawy napowrót do Wydziału krajowego, gdyż jest niesprawiedliwa, a wzywa Izbę, aby pamiętała o tem, co powiedział nasz wielki kaznodzieja z czasów Zygmunta: „To złodziejskie serce, które krzywdą drugich chce się wzbogacić“. (Oklaski).

W pojednawczym duchu przemawiał p. Abrahamowicz. Według niego zachodzą tu tylko nieporozumienia. Co do ustawy łowieckiej mówca stał na stanowisku włościan lub niemieckiem. Stanowisko, którego szczególniej broniła, dążą do tego, co mamy w Włoszech, gdzie stu myśliwych wyjeżdża, jeżeli zobaczą wróbla w polu. Jesto stanowisko w Niemczech jest prawo włościanom ograniczone, a to w interesie całego społeczeństwa. Cały spór polega na tem, że jedni chcą wolności, drudzy dochodu. Lecz dopiero dyskusya przy poszczególnych paragrafach wykaże, w czem mają się, czy te różnice będą tak straszne, jak się wydaje. P. Kramarczyk roztoczał żale i skargi, że włościanin musi płacić znaczne sumy za karty polowania. Czyż to jest krzywdą pewnej klasy? Wszak opłata istnieje w równej wysokości dla wszystkich. P. Okuniewski chce, aby i biedny wieśniak mógł raz na rok mieć za darmo zająca. Otóż on, że prawie, że nad tego zająca dostał?

„10 czerwonych złotych — rzecze mówca — dam posłowi za każdego zająca, którego zastrzeli, gdyby postulata jego spełniono“. Tego zdania p. mówca nie ma się, że ustawa najsłabsze. Mówca jest przekonany, że większość izby uchwali to, co jest godziwe i sprawiedliwe. (Oklaski).

P. Średniawski odpowiada p. Abrahamowiczowi. Kraj nasz nie obfituje do tego stopnia w zwierzynę, by to mogło bodaj wyrównać szkody przez tę zwierzynę wyrządzone. Tysiące szczepów niszczą rokrocznie zające, sarny, dziki również są plagą dla włościan.

Mówca przytacza rozmaite cyfry statystyczne. Sam także sadził drzewka w szkółce i „każde drzewko zniszczone przez zwierza bolało go osobiście“. Zwierzyna zdaniem mówcy, powinna być hodowana w zwierzyńcach, a w lasach tylko tolerowana. Ustawa dzisiejsza ma na celu tylko ochronę praw łowieckich, a nie pożytek kraju. Odszkodowanie, o którem już wspominał p. Kramarczyk, jest istotnie fikcyjne póki nie można komuś dowieść, że hoduje zwierzynę. Bo niechże właściciel przez 5 lat nie strzela dzików, dziki rozmnożą się i wyrządzą ogromne szkody; czyż można właścicielowi udowodnić, że do szkody się pośrednio przyczynił? Dlaczegoż na taksatorów szkód wyznaczać urzędników z wyższych sfer, czyż nie wystarczy gmina sama, czyż trzeba jakichś specyalnych studyów aby szkodę rozpoznać? Ale tu, zdaniem mówcy, chodzi o stronnicze traktowanie sprawy. Ustawa cała jest ułożoną przez pp. myśliwych i dla ich przyjemności. Dość już dwóch projektów nieudałych, trzeba ustawę na nowo z innego stanowiska zainicyować i zredagować ją tak, aby nie wywołała rozgoryczenia u ludu.

P. Wójcik utrzymuje, że projekt ustawy łowieckiej, jaki mamy przed sobą, może zawstydzić kończący się wiek XIX. Panowie z komisyi administracyjnej powoływali się na różne ustawy z innych krajów, a w szczególności na czeską. Mówca byłby rad, żeby według czeskiej ustawy projekt dla galicyjskiej był powzięty, bo jest ona daleko bardziej postępową. Takiego dziwoląga pokazać krajowi jak obecna ustawa, to już — jak twierdzi mówca — „wszelkie pojęcie przechodzi.“ Jest to szczyt egoizmu, jednostronności, ubrany we frazesy rzekomo kultury łowieckiej. Z dawniejszego projektu Wydziału krajowego tylko strzępy pozostały, a poprawki proponowane przez mówcę nie ujrzały światła dziennego, jedna po drugiej „przewracały delikatnie koziołka.“ W całej ustawie istnieje chaos. Jeżeli dziki wyrządzają szkody, to czyż dano możność włościaninowi bronić się przed nimi. „Chciałbym — rzekł p. Wójcik — widzieć tego z panów, któryby na dzika wyszedł z pięścią lub z kijem.“ Jeżeli się chce usunąć rozgoryczenie między ludnością, to projekt ustawy trzeba usunąć z porządku dziennego, to też mówca stawia wniosek, aby całą ustawę odesłano do Wydziału krajowego do przerobienia.

P. Stanisław Dzieduszycki zbijał zarzuty podnoszone przez posłów włościańskich. Większa własność postąpiła w tym wypadku jak najlojalniej i jeżeli kto miałby prawo skarżyć się, że ustawa ta będzie dla niego uciążliwą, to chyba właściciele lasów, ale nie włościanie.

Sprawozdawca p. Adam Jędrzejowicz w wymownych słowach bronił projektu ustawy. Zarzut, jakoby ustawa niniejsza była szablonową, jest bezpodstawny. Tego nie można powiedzieć o ustawie, która od całego szeregu lat przeszła wszystkie kompetencye władz.

Nieprawdą jest jakoby ustawa ta nie dopuszczała włościan do polowania. Oni i dziś w wielu okręgach mają prawo polowania i nadal będą je mieli. Prawa do polowania ustawa ta nie czyni zawisłem od tego, czy kto ma kartę na broń, czy nie, tylko wymaga pewnych kwalifikacyi. Ustawa ta wobec dzisiejszych stosunków jest znacznym postępem. Przedewszystkiem przyczyni się ona do podniesienia łowiectwa. Jedynie w tym celu ustanawia ona okręgi łowieckie, żąda od właściciela prawa polowania utrzymywania fachowego strażnika itp. A gdy się podniesie łowiectwo, zyska kraj na tem nie mało

W prowincyi tak małej w porównaniu z naszym krajem, jak dolna Austrya, w roku ubiegłym same odszkodowania za zwierzynę przyniosły 256.000 złr., a czynsza za polowanie 250.000 złr.

Włościanie nie mają żadnego powodu obawiać się, gdyż ustawa ta daje im jak najzupełniejsze odszkodowanie za szkody wyrządzone przez zwierzęta drapieżne. Mówca oświadcza, że nie spodziewał się, ażeby opozycya przeciw tej ustawie objawiła się ze strony reprezentantów mniejszej własności. Za to nie będą oponentom z pewnością wdzięczni ci, którzy corocznie ponoszą znaczne szkody przez dziki. Mówca prosi Izbę, aby przeszła do debaty szczegółowej nad tą ustawą. (Oklaski).

Przystąpiono do głosowania.

Wniosek odraczający p. Wojcika odrzucono i znaczną większością uchwalono przejść do debaty szczegółowej.

Paragraf 1-szy orzeka, że prawo polowania polega na wyłącznem uprawnieniu do hodowania, wyszukiwania, ścigania, zabijania i przywłaszczania sobie zwierzyny łownej i t. p.

P. Kramarczyk postawił poprawkę, aby z tego paragrafu wykreślono słowo „hodowania“ — sprawozdawca p. Jędrzejowicz oświadczył jednakże, że gdyby to słowo opuszczono, wówczas cała definicya prawna polowania nie miałaby sensu.

Izba odrzuciła poprawkę p. Kramarczyka, a przyjęła bez zmiany § 1 w brzmieniu proponowanem przez komisyę,

Paragraf 2 gi, wyliczający gatunki zwierzyny łownej przyjęto bez zmiany. Jako zwierzynę łowną w rozumieniu niniejszej ustawy uznano: jelenia i daniela, sarnę, zająca, dziki, króliki i borsuka, tudzież ptaki jak: głuszec, cietrzew, jarząbek, pardwa i kuropatwa, przepiórka, chruściel, bażant, drop, czajka, słonka, dubelt, krzyk, siewka, kulik, kurki wodne, łyska, nurki, dziki łabędź, dzika gęś, wszelkie gatunki dzikich kaczek i dzikich gołębi.

Przy paragrafie 3-cim zgłosili poprawki pp. Wójcik i Żardecki.

Godzina 1-sza, posiedzenie trwa dalej.

KRONIKA.

Lwów 29 stycznia.

Czas odnowić prenumeratę, gdyż w *Przeglądzie* jest taki zwyczaj — co prawda bardzo niedobry — że w dniu, w którym wygasa prenumerata ustaje wysyłka gazety. Więc należy we własnym interesie co rychlej prenumeratę odnowić.

Raut na cześć Kazimierza Badeniego urządzony wczoraj w ratuszu przez reprezentacyę miasta Lwowa, był świetną manifestacyą tych uczuć dodatnich, jakie cały nasz ogół żywi dla tego znakomitego męża stanu. Na raut przybyły wszystkie stany i zawody, cały Sejm, cała Rada miejska, duchowieństwo z książętami Kościoła na czele, cała jeneralicya, obywatelstwo wiejskie i miejskie, przemysłowcy, kupcy i rękodzielnicy, cały świat literacki i artystyczny, naturalnie cały świat urzędniczy z Namiestnikiem i Prezydentem apelacyi na czele — słowem nie brakowało nikogo z tych, co naród stanowią, bo każdy chciał bodaj rękę uścisnąć, bodaj zobaczyć tego, na którego włożono ciężkie brzemię reprezentowania w obec Europy narodu polskiego, jego dojrzałości politycznej, jego umiejętności rządzenia. Nie my obdarzyliśmy tym mandatem Kazimierza Badeniego i prawdopodobnie, gdyby to od nas zależało, to oceniając ogrom odpowiedzialności, nie mielibyśmy odwagi ani jego ani nikogo innego w narodzie takim mandatem obdarzyć. Ale tak rzecz ułożyły same stosunki, tak jakoś wynikło może z tego, że po stu latach rewolucyjnej działalności, pojawiliśmy się po raz pierwszy na terenie Europy jako dodatni czynnik, broniący ładu i porządku, dość że powołanie Badeniego do steru rządu w chwili dla Austryi bardzo krytycznej, zwróciło oczy całej Europy na ten fakt i ta Europa zobaczyła w Kazimierzu Badenim, nietylko człowieka wielkich politycznych zdolności, ale personifikacyę całej Polski, jakby jej streszczenie, jakby wyraz jej dążności. Ztąd ta wściekła do niego nienawiść we wszystkich tych żywiołach, które z dawna żywią do narodu polskiego uczucia jak najgorsze.

Ale też stąd i na odwrót zrodziło się w polskiem społeczeństwie gorące pragnienie popierania tego męża, bez względu na różnicę usposobień, czy zapatrywań politycznych. Wprawdzie mały dysonans wywołały usiłowania socyalistów, zmierzające do zakłócenia harmonii, z jaką cały ogół polski czcił wczoraj Kazimierza Badeniego; wprawdzie były nawet próby z ich strony steroryzowania Reprezentacyi miasta, zastraszenia jej, że socyaliści przybędą z czerwonym sztandarem na raut; ale te zatrute strzały odbiły się od piersi naszych Ojców miasta, którzy podobnym niecnym usiłowaniom przeciwstawili gorący i rozumny swój patryotyzm. Zresztą i w tym dysonansie socyalistycznym było więcej uległości dla rozkazów z Wiednia, od tamecznego obozu radykalnego, niż rzeczywistej nienawiści czy do osoby Kazimierza Badeniego, czy do chluby, jaką on narodowi naszemu przynosi. Bo i ci socyaliści, jakkolwiek nieraz bardzo zbałamuceni, są przecież Polakami.

Ile było osób na raucie — trudno określić, może 800, może tysiąc. Dość powiedzieć, że od tego rogu ratusza, który patrzy na ulicę serbską do tego, który jest na przeciw krakowskiej, we wszystkich salonach recepcyjnych I piętra i w całem prywatnem mieszkaniu prezydenta Mochnackiego był tłok niesłychany. Zgromadzenie było wyłącznie męskie. Przybywającego prezydenta ministrów z p. ministrem Bilińskim, powitała muzyka polonezem, poczem rozpoczął się w wielkiej sali *cercle*, a po nim, przeciskając się przez tłum gości, udali się dygnitarze do jednego z oddalonych salonów. Około godziny pół do 11-tej opuścili dygnitarze gościnne salony Reprezentacyi miejskiej, w imieniu której przyjmował i raczył gości p. prezydent Mochnacki, p. wiceprezydent Marchwicki, p. delegat Michalski i kilku radnych, — wszyscy w przepysznych polskich strojach.

Na cześć dra Bilińskiego, ministra skarbu, a byłego rektora i profesora tutejszego uniwersytetu urządzają dziś w południe w kasynie mieszczańskiem śniadanie profesorowie uniwersyteccy. W śniadaniu tem weźmie udział także prezydent ministrów hr. Badeni. Jutro na cześć ministrów wydają obiad w sali Towarzystwa kredytowego ziemskiego posłowie sejmowi. Toast na cześć hr. Badeniego wzniesie b. minister dr. Dunajewski.

Mianowania. Pan Namiestnik zamianował Maksymiliana Hołowieckiego koncepistą policyi.

Prezydyum krajowej Dyrekcyi skarbu zamianowało rewidentem rachunkowym w IX klasie rangi Augustyna Gawlika; oficyałami rachunkowymi w X klasie rangi: Jana Głabowskiego, Aleksandra Szygowskiego, Teofila Fałęckiego i Jana Kassarabę; asystentami rachunkowymi w XI klasie rangi: Piotra Szychulskiego, Majera Lauterbacha, Bohdana Bułyka, Kazimierza Borowiczkę, Wiktora Tarnawskiego, Kazimierza Szumańskiego, Józefa Bromberga i Edmunda Broedera; zaś Emila Korczyńskiego oficyałem kancelaryjnym w X klasie rangi, Aleksandra Wysokińskiego i Karola Winiarskiego kancelistami w XI klasie rangi.

Ze świata naftowego. Pp. Bronisław i Walentyna Nartowscy, właściciele dóbr Jamielnica i Jamielniczki, leżących w pobliżu Schodnicy, wydzierżawili część swego terenu, t. j. 500 morgów, towarzystwu zawiązanemu z firm wiedeńskich i krajowych na lat 25 w celach eksploatacyi nafty.

Socyaliści lwowscy urządzili wczoraj wieczór zgromadzenie w celu wystosowania do prezydenta gabinetu pytania: „co słychać z reformą wyborczą“. Na zgromadzeniu tem przemawiali ci „mówcy“, którzy przemawiają na każdem zebraniu socyalistycznem i powtarzali te same frazesy i zwroty ziejące nienawiścią i egoizmem klasowym, które wszyscy uczestnicy zebrań socyalistycznych umieją już na pamięć, a jednak z lubością i rozkoszą słuchają, choćby po raz setny. Jedyną nowością było twierdzenie, że hr. Badeni nie zasłużył na raut, który na jego cześć Rada miejska urządziła, bo „nic jeszcze nie zrobił“. Po wysłuchaniu długiego szeregu mówców, zgromadzenie uchwaliło po raz, nie wiadomo już który, rezolucyę domagającą się powszechnego głosowania i zakończyło obrady okrzykiem na cześć socyalnej rewolucyi. Potem zebrani w liczbie około 500 głów ruszyli, śpiewając „Czerwony sztandar“, ku ratuszowi, ale na placu kapitulnym zatrzymał pochód silny kordon policyi i zmusił demonstrantów do rozejścia się.

Z Wiednia donoszą, iż dotychczasowy kierownik biura galicyjskiego w ministerstwie spraw wewnętrznych dr. Henryk Roża objął jedną z sekcyi tego ministerstwa, a kierownictwo biura galicyjskiego powierzono radzcy sekcyjnemu hrabiemu Stanisławowi Pinińskiemu.

Oszustwo na wielką skalę. W Wiedniu — jak donoszą nam telegraficznie — aresztowano wczoraj właściciela największego w Austryi składu welocypedów Libkowitza. Libkowitz żył w przyjaźni z kelnerem zagrzebskim Juliuszem Zigeunerem, szwagrem zmarłego przed kilku laty milionera wiedeńskiego i posła do Rady państwa Skenego. Zigeuner odziedziczył po siostrze swej p. Skene 400.000 zł Otrzymawszy tak wielki spadek Zigeuner zaczął hulać i stracił wszystko, tem bardziej, że wyłudził od niego 100.000 zł. Libkowitz i stracił je także na hulankach. Filie składu Libkowitza w Peszcie i Zagrzebiu zamknięto na telegraficzne polecenie sądu wiedeńskiego.

„Święty szewc,“ oszust Heger, o którym pisał nasz korespondent wiedeński, skazany został za oszustwo, jak nam z Wiednia telegrafują, na 8 miesięcy więzienia.

Z Wiednia donoszą, że w celu ułatwienia awansu kancelistom sądowym postanowiono pomnożyć ilość posad oficyałów w obwodzie wyższego sądu krajowego wiedeńskiego z 10 na 50.

Nowe ruskie Towarzystwo akademickie „Akademiczna Hromada“ zawiązało się dnia 26 bm. we Lwowie. Prezesem Towarzystwa wybrano Jana Rakowskiego, słuchacza filozofii.

Teatr Myszkowskiego. Sympatyczny dyrektor najlepszej w kraju trupy prowincyonalnej, która śmiało rywalizować może z niejednym teatrem wielkomiejskim, zawitał do Przemyśla. Jak nam stamtąd piszą, p. Myszkowskiemu przypadło w udziale zainaugurować ze swą trupą przedstawienia na scenie przemyskiego Sokoła. W tej obszernej, elektrycznie oświetlonej sali urządzono stałą scenę, wielką, wygodną i zaopatrzoną w maszynerye najnowszych systemów. Pierwsze przedstawienie na nowej scenie odbędzie się dnia 30 bm. Daną będzie „Halka“. Nie wątpimy, że przedstawienie to, w którem weźmie udział cały tak znakomicie wyszkolony personal trupy p. Myszkowskiego, powiedzie się znakomicie i przesyłamy p. Myszkowskiemu serdeczne „Szczęść Boże!“ w obecnem miejscu pobytu.

W Czytelni katolickiej wygłosi we czwartek 30 bm. prof. Maksymilian Thullie pogadankę p. t. „Robotnice igły“.

Ruska „Narodnaja Rada“ mieć będzie dnia 30 b. m. swoje walne zgromadzenie, na którem pomiędzy innymi punktami porządku dziennego są referaty p. Romańczuka: „O obecnej sytuacyi politycznej Rusinów galicyjskich“ p. Teliszewskiego: „O ekonomicznem położeniu narodu ruskiego w Galicyi, o emigracyi i o sposobach ratunku“.

Pożar. W Sulimowie koło Wareża spaliła się cerkiew. Ogień powstał wskutek nieuwagi służby cerkiewnej.

Towarzystwo muzyczne krakowskie odbyło w niedzielę walne zgromadzenie. Prezesem wybrano profesora uniwersytetu Jagiellońskiego i posła na sejm krajowy dra Henryka Jordana, wiceprezesem dra Wincentego Tarłowskiego, w skład wydziału weszli pp. dr. Bronisław Gunkiewicz, Józef Jawornicki, dr. Julian Schramm i dr. Feliks Czesznak

Samobójstwo. Ukończona seminarzystka, 19-letnia Eugenia Weberówna, zamieszkała z rodzicami przy ulicy Szeptyckiego, rzuciła się wczoraj po trzeciej po południu w zamiarze samobójczym z galeryi drugiego piętra na bruk podwórza i poniosła śmierć na miejscu. Nieszczęśliwa uczyniła to w stanie chwilowej niepoczytalności, spowodowanej gorączkową chorobą. Zwłoki pozostawiono w domu.

W Brzeżanach obchodzono dnia 24 bm. czterdziestoletni jubileusz pracy zawodowej tamtejszego zarządcy poczt p. Adolfa Warzykowskiego.

Pomnik Kopernika, który ma być wzniesiony w Krakowie staraniem uniwersytetu jagiellońskiego wykona artysta rzeźbiarz p Cypryan Godebski.

Stan powietrza. T. o 9 rano — 6° R., w poł. — 1° R. Bar. 717. Spada. Prześliczna pogoda.

Żona do męża:

— Mój drogi, czego ty tak chrapiesz, jakbyś chciał przepiłować noc na dwoje?!

Dumny.

Mógłbym napisać jeszcze jakie znakomite dzieło, lecz dla tych marnych kilku lat, jakie mamy jeszcze w obecnem stuleciu, nie opłaca się nawet coś porządnego zacząć...

Teatr. Dziś we środę „Faust“, opera w 4 aktach Gounoda. Pożegnalny występ Gemmy Bellincioni. Jutro we czwartek wznowioną będzie znakomita komedya Wiktoryna Sardou p. t.: „Małomieszczanie“.

Gemma Bellincioni opuszcza jutro Lwów i udaje się do Bukaresztu, gdzie już 1 lutego wystąpi w tamtejszej operze.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich abonentów prospekt Biblioteki uniwersalnej wydawanej nakładem „Spółki wydawniczej w Krakowie“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 stycznia.

(Z) Zwyżkowa tendencya, jaka zapanowała z końcem ubiegłego tygodnia, przeniosła się i na dzisiejszy targ. Mowę, którą angielski minister Chamberlain wygłosił na bankiecie w Birminghamie, znów wzięto jako objaw wielce pokojowy, a fakt, że kontrmina wystraszona kilkudniową haussą, przedsiębierze wielkie zakupna także sprzyja zwyżce. Wreszcie trzecim motywem zwyżkowym było to, iż mówiono, że rada jeneralna banku austro-węgierskiego na posiedzeniu, które odbędzie się w dniu 3 lutego, prawdopodobnie obniży stopę procentową na 4 pr.

Od samego zatem początku walory rosły w cenie, zwłaszcza bankowe i kolejowe. Około południa jednak nastał zwrot, gdyż z Berlina sygnalizowano mdłą tendencyę, a także w Paryżu papiery tureckie i włoskie spadły dość dotkliwie. Turcya równocześnie w czterech miejscach i w Paryżu i w Londynie i w Berlinie i w Frankfurcie stara się o pożyczki i ofiaruje w zastaw dochody z latarni morskich i cła, pobieranego na mostach. W rezultacie więc papiery straciły część porannej zwyżki, mimo to jednak ostateczne zamknięcie wykazuje w papierach bankowych i kolejowych kilko-guldenowe zwyżki.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 373·—, węgierskie 416·75, Anglobanki 172·20, Uniony 309·50, Bankvereiny 148·25, Länderbanki 247·50, Ludwiki 220·25, Czerniowieckie 293·—, Elbethale 278·—, Renta papierowa 100·80, srebrna 101·10, austryacka złota 122·70, 4% austr. renta wal. kor. 100·85, węgierska złota 122·60, 4% węgierska renta wal. kor. 99·—, dukat 5·70—, 20-frankówka 9·61, marki 11·85. ruble 1·28¼.

Wiedeń 27 stycznia. Spirytus 14.70—14·80.

§ **Giełda towarowa.** Wiedeń 29 stycznia. Cukier i surowica loco Aussig 14.82½, rafinada prima loco Wiedeń 32.50. Cukier w kostkach prima 33.50.

Spirytus kontyngentowany loco Wiedeń 14.70, petrolej cesarski rafinowany loco transito F, galicyjski loco Wiedeń 20, galic. olej cesarski 21.40.

Pszenica na wiosnę zł. 7.37, owies na wiosnę 6.75½, kukurudza na maj-czerwiec 4.66.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 27 stycznia. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1279, węgierskich 2549 i niemieckich 637, razem 4465 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 32, dobre ciężkie 33 do 35, osobliwe wyjątkowo 35 do 37 zł., za buhaje i krowy 22 do 32 zł. wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu“.

Berno 29 stycznia. Zakaz, który tutejsza władza wojskowa wydała, zabraniający wojskowym chodzenia do lokalu czeskiej „Besedy“, został zniesiony.

Wiedeń 29 stycznia. Komisya szkolna sejmu dolno-austryackiego uchwaliła 7 głosami przeciw 5 przejść do porządku dziennego nad projektem rządowym, dotyczącym zaprowadzenia nauki religii w wyższych szkołach realnych.

Rzym 29 stycznia. Ks. Ferdynand bułgarski był *incognito* na audyencyi u Papieża.

„Agencya Stefaniego“ donosi, że Papież oświadczył księciu, iż przejście ks. Borysa na prawosławie jest niedopuszczalne. Ojciec św. oświadczył księciu, iż jest z jego postępowania bardzo niezadowolniony.

Rzym 29 stycznia. Książę bułgarski Ferdynand odjechał przedwczoraj do Wiednia. „Agencya Stefaniego“ donosi, iż ogólnie zauważono, że kardynał Rampolla nie rewizytował w imieniu Papieża księcia, jak to jest w Watykanie we zwyczaju.

Londyn 29 stycznia. „Biuro Reutera“ zaprzecza wiadomości, jakoby flota rosyjska zbroiła się, oraz jakoby istniał plan rozbioru Turcyi. Sytuacya w Turcyi w niczem się nie zmieniła.

Belfast 29 stycznia. Strejk robotników okrętowych zakończony. Dzisiaj roboty podjęto.

Bruksela 29 stycznia. Królowa belgijska odzyskała zdrowie zupełnie.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 29 stycznia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 291.— do 296.—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 385.— do 395 —. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. [illegible] 5 proc. łos. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 109.70 do 110.40, 4 i pół proc. łos. w 50 lat. 99.70 100·40, Banku kraj. 4 i pół. proc. łos. w 51 lat. 100.50 do 101.20, Banku kraj. 4 proc. łos. 57 lat. 97·50 do 98.20 Tow. kred. zł. ziem. 4 proc. (I emisya) 98.— do 98·70 4 proc. łos. w 41 i pół latach 97.80 do 98.50 4 proc. łos. w 56 lat. 97.50 do 98·20.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 97.60 do 98·30 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101.00 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.— do 103.70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105— —·—, 4 i pół proc. 99.60 do 100.30, 4 proc. z r. 1891 97.— do 97·70, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 97.20 do 97.90.

Monety Dukat cesarski 5·66 do 5.76, Napoleondor 9.57 do 9.67, Półimperyał 9.75 do —.—, Rubel rosyjski pap. 1.28·70—1.29·70, 100 marek niemieckich 59.10—59.60

Wiedeń 28 stycznia. Notowania wieczorne. Kredyty 374·00, węgierskie kredyty 422.50, anglobank 173·00, bankverein 147·75, unionbank 310·00, länderbank 249·75, staatsbahny 369.75, lombardy 101.00, elbethale 278.75, akcye tytoniowe 189.00, rima 254.00, alpiny 85.10, renta majowa 100.75, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 57.75, węg. renta koronna 99.20, marki 59.35, ruble 128.75.

78)

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

Lecz adwokat, wybuchając gniewem, dorzucił:

— Tylko jeżeli mogłem uchylić czoło przed miłością Rajmunda, nie znaczy to wcale, abym mógł znieść współzawodnictwo takiego Santa Capelli. Czuję do tego człowieka nienawiść, którą tylko we krwi ugasić potrafię...

Jaunet popatrzył mu prosto w oczy.

— Zgoda — rzekł zimno. — Lecz tej krwi nie powinieneś pan przelać własnemi rękoma.

— Tylko kto?

— Kat.

Holley drgnął.

— Co pan mówisz?!...

— Na teraz poprzestań pan na tem i nie pytaj o więcej. A dziś wieczorem przyjdź do mnie o dziesiątej do hotelu Wszechświata, pod numer sto dwudziesty pierwszy.

I wyszedł, nim adwokat miał czas go zatrzymać.

Dziesiąta biła na zegarze, gdy Daniel Holley przekraczał próg hotelu.

— Oto, co się zowie akuratnością! — myślał w duchu.

Szumiały mu dotąd w uszach dziwne, a tajemnicze dwuznaczne słowa Jauneta, człowieka obcego i po raz pierwszy widzianego w życiu, który tak dokładnie powiadomiony był o jego poufnych sprawach, jakby go znał od dzieciętwa.

To też czuł na piersiach przygniatający ciężar niepokoju, jakby w oczekiwaniu ważnego jakiegoś zdarzenia.

Przebiegłszy szybkim krokiem obszerne podwórze, dzielące go od piątego dziedzińca, poskoczył co żywo na schody i zastukał do drzwi sto dwudziestego pierwszego numeru, nie dając sobie nawet czasu odetchnąć.

Z właściwą sobie gwałtownością wpadł do pokoju i znalazł się w obecności Jauneta.

Agent, nic nie mówiąc, zamknął drzwi na dwa spusty; potem, odsłaniając ciężką portyerę, przedzielającą jego pokój od sąsiedniego, rzekł spokojnie:

— To on.

Dreszcz wstrząsnął Holleyem, gdy usłyszał skrzypienie posadzki, uginające się pod ciężkiemi krokami męzkiemi. Nieruchomy, dyszący, z rękoma wspartemi o poręcz fotelu, z oczyma utkwionemi we drzwi, stał i czekał.

Naraz zbladł, jak ściana, źrenice jego rozszerzyły się, a usta otwarły i cofnął się o krok w tył.

W obramowaniu portyery ukazała się wyniosła postać d'Etrillaca.

— Cóż to, Danielu, nie poznajesz starego druha? — spokojnie zapytał narzeczony Maryi.

Wtedy dopiero, na dźwięk jego mowy Holley, nie dowierzający dotąd swoim oczom, krzyknął wielkim, rozradowanym głosem:

— Rajmund!

I padł w wyciągnięte ramiona przyjaciela.

Po pierwszych, gorących uściśnieniach, Holley cofnął się w tył i przyglądając się zmartwychwstałemu, z najgłębszem zdumieniem zapytał:

— Więc to ty?... ty rzeczywiście?...

Zbierała go ochota dotknąć się raz jeszcze Rajmunda rękoma, aby się przekonać, czy istotnie ma przed sobą istotę z krwi i kości złożoną, nie złudną jakąś marę swojej wyobraźni.

Rajmund usiadł i wskazując naprzeciw siebie krzesło adwokatowi, rzekł:

— W kilku słowach objaśnię ci ten cud.

Tu wdał się między nich Jaunet.

— Panie d'Etrillacu — rzekł — czy nie byłbyś zdania, że jak na teraz, pan Holley zadowoli się najważniejszym faktem, iż odzyskał przyjaciela, którego poczytywał za umarłego? Resztę, mającą na celu zadowolenie jego ciekawości, możnaby może odłożyć na sposobniejszą chwilę.

Spojrzał na zegarek.

— Jest kwadrans po dziesiątej. A jakiż tam układ stanął, panie Holleyu, między panem a delegatami miasta?

— Jak to?... już i o tem pan wiesz? — zawołał adwokat.

— Rzecz prosta. Byłom zamięszany w tłumie.

— Otóż wszystko składa się wybornie. Zorganizujemy pułk ochotników, który będzie śledził z blizka wszystkich Włochów podejrzanych o udział w Maffii. Gdy będziemy ich mieli w ręku, wtrącimy do więzienia, gdzie sąd rozprawi się z nimi i wymierzy im zasłużoną karę.

Tu wymownym ruchem przeciągnął ręką po gardle.

D'Etrillac pytająco spojrzał na Jauneta.

— Doskonale obmyślane — odezwał się mały policyant. — Tylko kiedyż pan będziesz miał swoich ludzi w pogotowiu?

— Dziś wieczorem, jeżeli pan chcesz.

— To dobrze. Czy możesz pan znaleźć się dziś o północy, z tuzinem podobnych sobie zuchów, na przedmieściu Związku, w pobliżu szynku „Sangue di Christo?"

— Jak najchętniej.

— W takim razie — odparł Jaunet, biorąc kapelusz — zostawiam panów razem, a za chwilę zobaczymy się tam.

XXIII.

W szynku „Sangue di Christo" było tego dnia bardzo ludno. Zwykła klientela powiększona została nowymi, z daleka przybyłymi gośćmi, którzy pili na zabój, radując się ze spotkania z przyjaciółmi.

Jak zwykle co kwartał, odbywało się tam owego wieczoru wielkie zebranie Maffii, na którem każdy z obecnych członków zdawał publicznie sprawę ze swoich czynności. Ci zaś, którzy rozproszeni byli po dalekich prowincyach, wysyłali swoich delegatów z ustnym raportem.

Już od dwóch godzin ci wysłańcy defilowali przed Luiggim Merellim i dwoma jego pomocnikami, z których jeden stenografował sprawozdania, drugi zaś inkasował sumy, przedstawiające dochód z ubiegłego kwartału.

Ukończywszy swoją czynność, Luiggi wszedł na stół i dał ręką znak, że chce mówić. Nastała cisza, wśród której wódz przemówił donośnym głosem:

— Panowie! W ciągu ostatnich trzech miesięcy stowarzyszenie nasze zrealizowało sumę dwakroć dwadzieścia ośm tysięcy dolarów.

W tej chwili zastukano z lekka do drzwi. Luiggi drgnął i ręką nakazał milczenie zebranym.

Stukanie ponowiło się po raz drugi i trzeci, w regularnych odstępach.

— Idź otwórz, Zuitto — rozkazał Luiggo. — To jeden z naszych.

Zaczęto na nowo pić i gwarzyć, nie troszcząc się o nowego przybysza, który przez uchylone drzwi wsunął się cichaczem do izby.

— Kogo szukasz? — spytał wódz, który przyglądał mu się podejrzliwie.

— Luiggiego Merellego — odparł.

— To ja jestem — rzekł z coraz większą nieufnością przypatrując się małemu człowieczkowi o chudej, ogolonej twarzy, mrugających powiekach i ustach rozchylonych przebiegłym uśmiechem.

— Chciałbym wam powiedzieć słówko...

— Mów.

— Nie tu. Tam, na dworze — odparł, potrząsając głową.

— Na dworze?... — powtórzył wódz zdziwiony.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Czegoż się obawiasz? — zapytał.

— Coś ty za jeden?

— Jeżeli mnie pytasz o nazwisko, to ci nie odpowiem, bo tobie nic do tego. Niech ci wystarczy wiadomość, że jestem człowiekiem, który chce cię ocalić.

Luiggi wstrząsnął się.

— O alić... mnie?... — powtórzył.

Nieznajomy schwycił go za rękę i rzucił dokoła wylęknionem spojrzeniem.

— Cicho!... — szepnął. — Gdyby cię tamci dosłyszeli...

— To i cóż z tego?...

— Mogę ocalić tylko ciebie jednego.

— Dla czego?

— Nie żądaj objaśnień. Policya tu będzie za chwilę.

— Policya?

— Mówże ciszej...

— Lecz cóż cię mogło skłonić..

Obcy przybrał tajemniczą minę.

— Powiem ci później. A teraz decyduj się prędko: tak, czy nie!

Luiggiemu błyskawicznie przemknęło w tej chwili przez myśl, że Opatrzność w samą porę przysłała mu tego człowieka, aby go oswobodzić od bandy, która z chwilą ożenienia stawała się dla niego zbyteczną i uciążliwą.

Gdyby wzięto maffiistów pod rygiel, odzyskałby całą swobodę działania i nikt nie ośmieliłby się mu dyktować jakichkolwiek praw.

Przez chwilę miał nawet złudzenie złotego deszczu, który spada zewsząd na niego. Był to posag miss Smither, który mógł sobie przywłaszczyć w całości, gdyby nie potrzebował zdawać z niego rachunku nikomu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski.

Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hoтak.